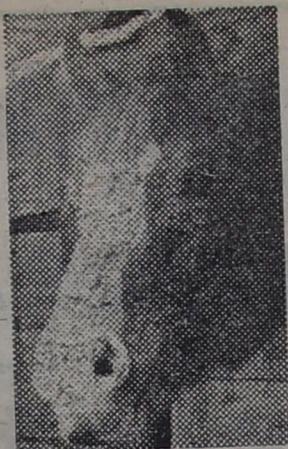


3
genialny
samouk



4-5
spychaczem
ich



7
swój w
urodziny
teren



11
jesienny
rekonesans



14
lipowe
figurki

KONTAKTY

ŁOMŻYNSKI TYGODNIK SPOŁECZNY • PISMO PZPR

41

(68)

KONTAKTY
18.X.1981
Cena 6 zł



Fot. GABOR LÖRINCZY

Z własnym żołnierzem pod pachą... Rzeźby Stanisława Kozielskiego, twórcy-samouka, to kolejne potwierdzenie ogromnego sentymentu, jakim darzymy Nasze Ludowe. To w galowych, jak w Dniu Wojska Polskiego, i to w przepoconych mundurach polowych. Żołnierzom i oficerom z okazji ich święta najlepsze familiine (czyż jest rodzina, w której nie byłoby człowieka w mundurze?) życzenia składa redakcja „Kontaktów”.

NIE DAJMY SIĘ BIEDZIE

sztachety na wykałaczkę

STEFANIA
HENCZEŁOWA

Pięć rejonów, trzynaście branż, posystematyzowanych w trzy zakłady (segmenty), 106 placówek handlowych (w tym 22 sklepy agencyjne) i 16 punktów usługowych — to gospodarstwo młodego, zaledwie dziesięciomiesięcznego, Wojewódzkiego Przedsiębiorstwa Handlu Wewnętrznego w Łomży. Bezpośrednio w handlu detalicznym zatrudnia ono 415 osób, w usługach — 87, w administracji — 56, w działach pomocniczych — 18. Średni podstawowy zarobek ekspedienta wynosi 3700 złotych, a pracownika punktu usługowego — 4700 złotych. Suma funduszu płac w pierwszym półroczu 1981 r. wyniosła blisko 17,6 miliona złotych; wysokość obrotu — prawie 587 milionów, z dynamiką wzrostu przeciętnie wyższą niż w innych WPHW w kraju. Po sześciu miesiącach br. łomżyński handel wykonał założony plan w 112,1 proc., a po dziewięciu miesiącach — w 113,9 proc., mimo że np. w branży konfekcyjnej otrzymał zaledwie 62,6 proc. zamówionych towarów, w branży papierniczej — 50 proc., skórzaną — 49 proc., maszynową — 52 proc., telewizyjną — 60 proc., meblową — 53,2 proc.

Skąd zatem osiągnięcia planowe i spora dynamika wzrostu sprzedaży? — spyta zdziwiony klient, który ogląda tylko regały lub kolejki do sporadycznych dostaw. Odpowiem anegdotą. Niedawno wicewojewoda łomżyński obwieścił handlowcom, że wszelkie towary deficytowe mają obowiązek sprzedawać wyłącznie po godz. 15.00. Zarządzenie to okazało się zupełnie niemożliwe w realizacji, ponieważ nikt już teraz nie potrafi ustalić jednoznacznie, które artykuły należałyby zaliczyć do deficytowych! Ludzie wykupują dosłownie wszystko, bez oglądania się na jakość czy rozmiary. Drobnym szczegółem w tej sytuacji jest fakt, iż żaden z porannych klientów nie pozwoli doleżeć towarowi do godzin popołudniowych, choćby miał wyłamywać drzwi czy demolować kraty.

Dla realizacji planu obrotów WPHW oczyściło swoje magazyny; stan zapasów ostatniego kwartału br. równa się 1/3 tego, czym dysponowało przed r.k'em, a nowy kwartał rozpocznie.

— Załoga musi być zainteresowana poziomem prosperowania Przedsiębiorstwa — powiedział sobie już w czerwcu br. roku jego młody dyrektor, mgr Stefan Sutyniec, i niezwłocznie przystąpił do tworzenia

cud w Olecku?

JULIUSZ ŚWIĘDO

CIĄG DAŁSZY NA STR. 8-9

CIĄG DAŁSZY NA STR. 6



NA WIECZORNICY, zorganizowanej w 37 rocznicę powołania MO i SB oraz Dnia Wojska Polskiego zasłużonym funkcjonariuszom milicji i służby bezpieczeństwa, a także oficerom LWP wręczono odznaczenia państwowe, resortowe, honorowe i regionalne. Jerzy Panasiewicz i Henryk Cywiński otrzymali Krzyże Oficerskie Orderu Odrodzenia Polski; Krzyże Kawalerskie Orderu Odrodzenia Polski wręczono Tadeuszowi Kozłowskiemu i Romanowi Marianowskiemu. I sekretarz KW PZPR Włodzimierz Michałuk powiedział z tej okazji: „Zawsze, a szczególnie w najtrudniejszych dla nas dniach, najszybsze rzesze ludzi pracy liczyły na skuteczne działanie wojska, milicji i służby bezpieczeństwa w obronie swych najżywniejszych interesów. I nadzieje te nie zostały nigdy zawiedzione. [...] Na hasło „Ojczyzna w potrzebie” zawsze odpowiadaliście ofiarnością i oddaniem. Wierzę, że tak odpowiecie i dziś”.

PLENARNE POSIEDZENIE KM PZPR w Łodzi podzielono na dwie rundy. Podczas pierwszej przewodniczący pięciu komisji problemowych przedstawili wnioski, które sekretarz POP przekazał swoim organizacjom, a ewentualnie oddolne opinie i postulaty zostaną przedstawione i przedyskutowane na drugiej części Plenum — 16 października. — Zbyt szybko zapomnieliśmy — powiedział I sekretarz KM PZPR, Mieczysław Czarniawski — o pryncypiach IX Zjazdu: potwierdzenie linii porozumienia i przestrzegania demokracji. Podejrzewam, że ciągle niedostatecznie znane są uchwały Zjazdu i strategia partii, a bez tego trudno mówić o wypracowaniu nowych taktyk. Obserwuję też, że członkowie PZPR nie znają nowego statutu. Jest oczywiście, że same, nawet najbardziej słuszne uchwały niczego nie zmieniają. Trzeba je realizować. A nie można tego zrobić, nie znając ich dokładnie. Po Zjeździe nie było żadnego zrywu, wybuchu inicjatywy. Mam wrażenie, że organizacjom partyjnym siły starczyło na walkę o prawo do samodzielności i samorządności. Osiągnięta swoboda działania prowadzi często do zaniku wszelkiej aktywności. Zaczynają docierać do nas nawet głosy, że instancja miejska powinna działać bardziej dyrektywnie.”

W PAŃSTWOWYM DOMU Pomocy Społecznej dla Dzieci w Łodzi trwa od 5 bm. akcja protestacyjna z powodu przesunięcia na czas nieokreślony terminu wprowadzenia w życie układu zbiorowego dla pracowników służby zdrowia i opieki społecznej. Protest, wyrażający się wywieszaniem flag i hasel, podjęciem uchwały — przy pełnym poparciu POP — i wysłaniem jej na ręce premiera oraz ministra zdrowia, w najmniejszym stopniu nie zakłóca normalnej pracy placówki.

KARTKI NA MIESO rolnicy gminy Miastkowo, idąc w ślady Perlejewy, przekazała górnikiem i załogom produkującym maszyny rolnicze. Taki wniosek na sesji Gminnego Związku Kółek i Organizacji Rolniczych spotkał się z powszechną aprobatą. Gdyby nasze kartki zaopatrzenia uwzględniały podział na wędlinę i mięso, to z mięsa mogliby zrezygnować prawie wszyscy — mówią mieszkańcy gminy.

KOŃCZY SIĘ ZBIÓR ziemniaków. Na polach pozostały do wykopania niewielkie ich ilości (niecałe dwa procent powierzchni). Tegoroczny urodzaj cieszy konsumentów, natomiast przysparza wiele kłopotów samym producentom. W rejonie Trzciannego i Goniądza skupuje się tylko tyle ziemniaków jadalnych, ile w ciągu doby zdolają odebrać zamiejscowi kontrahenci.

JAK ZAPOBIEC deprecjacji szkoleń?

ZDANIE TYGODNIA: „Kontakty towarzyskie nie muszą się spełniać tylko w kolejkach”.
(Władysław Robak, nauczycielka).

ly wiejskiej? Pod takim hasłem Klub Publicystów Oświatowo-Wychowawczych SDP i redakcji „Kontaktów” organizują w dniach 20-21 października sesję wyjazdową. W jej przygotowaniu dziennikarzy wspiera mocno Kuratorium Oświaty i Wychowania a także WZKiOR. Udział w sesji zapowiedziało 50 dziennikarzy z całego kraju. Wtorkowy rekonans gminnych placówek w województwie łódzkim stanie się podstawą rozważań nad stanem wiejskiej oświaty. Przeniesienie tego tematu na łamy prasy krajowej będzie najlepszym uczczeniem tegorocznych obchodów Dnia Nauczyciela.

NA TRZECIM Sejmiku Biebrzańskim spotkali się w Grajewie ochraniający przyrodę, profesjonalisci i społecznicy, z całego kraju. Stan badań naukowych prowadzonych w dolinie Biebrzy, realizacja postulatów I i II Sejmiku, reakcje społeczeństwa na wiadomość o zanieczyszczeniu Biebrzy, koncepcje zagospodarowania turystycznego doliny rzeki — to tematy, o których dyskutowano burzliwie. Idea ochrony biebrzańskich bagien ma dokładnie 30 lat, zaś próby praktycznych działań są mało skuteczne. Czas więc kończyć komplekty i zaczynać robotę. O czym szerzej w jednym z następnych numerów.

POCZĄTEK PAŹDZIERNIKA zapisał się w sposób szczególny mieszkańcom osiedla Górka Zawadzka. Autobusowa linia nr 19 połączyła osiedle z miastem; po długim oczekiwaniu rozpoczęło swoją działalność opiekuńczo-wychowawcze przedszkole, otwarto także, w budowany w rekordowo krótkim czasie, pawilon handlowy.

„KONTAKTY” ROZPOCZĘŁY starania o ustalenie dorocznej nagrody i orderu imienia Zygmunta Gł

zebrać. Ale, jak dodają, największą szkodę czynią zakłady przemysłowe Łomży, które, na wysokości Szablak, w nocy wpuszczają do Narwi swoje ścieki. Po takiej porcji chemikali aż białe się robi (patrz zdjęcie) na powierzchni wody.

proszę o głos

Co w najbliższych miesiącach chcą robić na wsi związki młodzieży?

JERZY DOŁĘGOWSKI, przewodniczący ZW ZMW: — Nie będziemy naciskać na tworzenie kół, lepiej niech powstają z rzeczywistej potrzeby. Zajmiemy się mocno kulturą, a szczególnie klubami wiejskimi. Przeżywają one ostry kryzys. Poszukamy sposobów ich ożywienia. Potrzebna jest nowa koncepcja ich działalności. Myślę, że razem z młodzieżą i wszystkimi sojusznikami znajdziemy ją. Chodź przecież o stworzenie takich warunków na wsi, by młodzież miała ochotę tam pozostać.

ZBIGNIEW ŻUKOWSKI, komendant Chorągwi ZHP: — Chcemy przedłużyć ideę Nieobozowej Akcji Letniej na cały rok. Prowadzimy taki eksperyment w hufcu Szumowo, a nasze doświadczenia popularyzujemy na bieżąco w „Świecie Młodych”. Ponieważ w wolne soboty nie można dojechać do szkół, zbiórki organizujemy w miejscach zamieszkania. Zająć te mają ogromne plusy: bardziej wiąże z miejscem zamieszkania, sąsiedzi, pozwalają wspólnie coś zrobić dla własnej wsi.



gera za prace badawcze i publicystyczne, poświęcone kulturze staropolskiej i ludowej oraz za szczególne zasługi w chronieniu jej dorobku. Chcemy uhonorować wybitne osiągnięcia w dziedzinach etnografii, archeologii, językoznawstwa, kultury materialnej, historii piśmiennictwa, muzyki i sztuk plastycznych.

Z OKAZJI DNIA SENIORA w sali widowiskowej WDK odbył się koncert „Kabaretu Starszych Panów”.

DZIŚ (15 X) w salach Muzeum Rolnictwa w Ciechanowcu została otwarta wystawa pn. Mieloracje rolne.

WKRÓTCE Zespół „Roma” zaprezentuje publiczności łódzkiej „Cygański Show” — wspaniałą potęgę rewiu tańców i pieśni Cyganów rumuńskich, rosyjskich, węgierskich i polskich.

KOMENDA CHORĄGWI ZHP w Łodzi 10 października zainaugurowała kampanię „Bohater”, której celem jest zdobycie prawa do imienia Samodzielnej Grupy Operacyjnej „Narew”.

ZMW zaprasza wszystkich działaczy i członków organizacji na spotkanie pokoleń, które odbędzie się 28 października br. o godzinie 10.00 w siedzibie WZKiOR.

OD KILKU DNI płyną Narwią, na odcinku Szablak-Nowogród śnięte jazie, leszcze, płocie, szczupaki. Rybacy twierdzą, że to ktoś „bombę” wrzucił i nie zdążył ogłuszyć ryb.

Redagowanie „Zdarzeń”: Stanisław Zieliński.

punkt widzenia

karta bez gwarancji

W ciągu ostatnich dni wokół Karty Nauczyciela było sporo kontrowersji. Wkrótce znajdzie się ona na forum sejmowym. Jakie nadzieje wiąże Pani, jako pedagog i działacz społeczny, z wprowadzeniem jej w życie?

Zofia Napiórkowska, dyrektor szkoły podstawowej nr 4 w Łodzi:

— Trudno wiązać nadzieje z czymś, czego się nie zna dokładnie. Projektu Karty nie zamieścił nawet „Głos Nauczycielski”. Sporo dyskutowaliśmy w naszym środowisku, ale które z tych propozycji wzięło pod uwagę, tego nie wiemy. Czy Sejm zatwierdzi Kartę w takim czy innym terminie, to jest w tej chwili mniej ważne. Chcieliśmy po prostu wiedzieć, czy treść tej karty odzwierciedla nasze przemyślenia, wnioski. Mamy bowiem przykre doświadczenia z poprzednią Kartą, która praktycznie paraliżowała działania nauczycieli, a nie im pomagała. Mój niepokój pogłębia fakt, że w dwu resortowych postanowieniach — nowym regulaminie rady pedagogicznej i regulaminie klasyfikacji uczniów — nad którymi dyskutowaliśmy długo i rzeczowo — nasze głosy nie zaznaczyły się w żaden sposób. Ponieważ Karta będzie zatwierdzona przez najwyższe władze ustawodawcze my, nauczyciele, fakt ten uszanujemy. Podporządkujemy się postanowieniom, ale czy będziemy zadowoleni? Czy nauczyciele zdobędą prawa, a nie tylko obowiązki; czy zagwarantuje nam godność zawodową? Dotąd traktowali się nas jak roboty, wykonujące dokładnie to, co nakazywały władze. Podnosi się ostro żądania finansowe: zrównanie w zarobkach z kadrą inżyniersko-techniczną. Ale dla nas, pedagogów, najważniejsze jest zwrócenie uwagi a to, by nauczyciel, i tylko on, decydował, jak ma wychowywać. Postulujemy taki kształt wychowania, by uczeń był podmiotem a nie przedmiotem zabiegów wychowawczych. Nam się do tej pory podrzucało gotowe instrukcje i podglądało, czy w sposób z nimi zgodny wykonujemy swoje obowiązki. Taki stan powoduje, że nauczyciel ratuje w końcu wszelką motywację do pracy. Jeszcze nigdy, pełniając funkcję dyrektora szkoły, nie zawiodłam się na zaufaniu nauczycielskim. Liczymy, że nasz Związek wynegocjuje te postanowienia, które są przedmiotem naszego żywego zainteresowania. Postulowaliśmy m.in., by nauczyciel mógł sam, w sposób jaki uzna za stosowny, dysponować swoim wolnym czasem. Jeśli np. opiekun harcerzy idzie w wolną sobotę na ognisko, to nie dlatego, że nakazano — świadomie rezygnuje ze swojego wolnego czasu, bo tego wymaga zawód pedagoga. Chciałabym, by życie szkoły stało się autentyczne: żeby szkoła była dla dziecka a nie dla władzy. Niech nas rozliczają, ale nie za to, czy młodzież równo maszeruje w pochodzie, albo czy szkoła odpowiednio na tę uroczystość udekorowała. Jeszcze teraz imprezy np. sportowe organizuje się po to, by poprawić wskaźniki statystyczne, a nie, by usportować młodzież.

Kością niezgody byłyby ciągle nagrody. Nauczyciele postulują, by zrezygnować z nich całkowicie. Jestem jednak za ich utrzymaniem, bo istotnie dopingują do pracy. Tylko niech kryteria przyznawania będą jasne. Do tej pory zaś było tak, że nauczyciel, czy dobrze pracował czy nie, to dostawał — takie były przepisy.

Zyczylabym sobie w Dniu Nauczyciela pełnej autonomii pracy. Niech nie dzwonią do mnie: na terenie szkoły nie ma takiej czy innej organizacji, poskarżymy się w kuratorium. O tym, co dzieje się w szkole, niech decyduje rada pedagogiczna, sami uczniowie. (az)

ROMAN ENGLER, przewodniczący ZM ZSMP: — Przyszedł już czas na to, by utworzyć Gminny Fundusz Rozwoju Kultury, którym rozporządzałaby Gminna Rada Kultury. Pieńdże na kulturę są. Tylko należy je zebrać i odpowiednio wykorzystać. Polska więc nie jest biedna. Dzisiaj na przykład za jedno fajko można obejrzeć przyzwoity film lub dwa seanse kina objazdowego.

pytanie drażliwe (1)

GDZIE JEST MIÓD, jeśli pszczoły w tym roku wyprodukowały go wyjątkowo dużo?

IGNACY PAWLIKOWSKI, prezes WSOP-u: — Przez pewien czas pszczelarze zwlekali z dostawą miodu do punktów skupu, bo nie było cukru. Obecnie otrzymują po 2 kg tego pszczelego pokarmu za 1 kg miodu, jednak nie więcej niż 10 kilogramów na pszczelą rodzinę. Skupiliśmy już 10 ton miodu. Przekazaliśmy go do specjalistycznej Okręgowej Spółdzielni Pszczelarskiej w Lublinie, gdzie po dokonaniu analizy i rozlaniu do słoików — według krajowego rozdzielnika — trafi do sklepów. Mamy obietnice, iż otrzymamy go więcej niż w rozdzielniku — za najwyższe dostawy spośród wszystkich województw.

MYŚL Z ATESTEM: „Są stoły o kulawych nogach, pod które podkłada się Biblię”.
(Karol Irzykowski)

polski dylemat

3
KONTAKTY
18.X.1981

Tematem moich przemyśleń w ciągu ostatnich lat była relacja: światopogląd a sposób bycia. Zaproszony do udziału w ankiecie „Kontakty”, „Polski dylemat — nadzieje i wątplenia”, chcę pozostać przy swoim sposobie myślenia, mając nadzieję, iż w ten sposób uda mi się powiedzieć zdanie własne i odmienne.

Polskie doświadczenia posierpniowe stanowią jeden z ważniejszych eksperymentów społeczno-historycznych dwudziestego wieku, wnosząc do dziejowej skarbnicy ludzkości propozycję zupełnie innych od dotychczas praktykowanych form życia społecznego. Niezależnie od dalszych losów Polaków — sumy wykroczeń i, być może, nieszczęść, które nas czekają — doświadczenia te przejdą do historii Europy i świata jako jedna z ważniejszych prób poszukiwania doskonałej, sprawiedliwej i humanitarnej, wolnej i suwerennej formy bytu społecznego. Jest to też niewątpliwie ważny etap w rozwoju starej idei komunizmu i prób jej praktycznej realizacji.

Idea komunizmu jest prawie tak stara, jak kultura europejska — zakotwiczona, między innymi, głęboko w myśli i praktyce chrześcijaństwa od początku jego istnienia i z inspiracji chrześcijańskiej w dużym stopniu wypływa. Spośród wielu różnorodnych nurtów tej idei próbie praktycznej realizacji poddany został jeden, określany jako marksistowsko-leninowski, będący rezultatem zastosowania w praktyce, w specyficznych i trudnych warunkach rosyjskich, teoretycznych koncepcji Lenina — mocno zmodyfikowanych przez praktykę rewolucji i porewolucyjnej restauracji ekonomiki i ładu społecznego. Jest on dziś przez niektórych określany mianem „realnego socjalizmu”. Doświadczenie polskie jest próbą sformowania się odrębnego modelu społeczeństwa socjalistycznego głoszonego przez niektóre partie komunistyczne na Zachodzie, nawiązującego w pewnym sensie do dziewiętnastowiecznych koncepcji syndykalistycznych czy też do koncepcji tzw. „opozycji robotniczej” w pierwszych latach władzy radzieckiej.

Wobec takiej doskonałości polskiej praktyki posierpniowej rażące jest, towarzyszące tym naszym historycznym przeobrażeniom, ubóstwo myśli. Brakuje wielkich syntez historyczno-filozoficznych, poprzedzających z reguły wielkie rewolucje. Brak poważniejszych analiz socjologicznych, które by pozwalały uchwycić sens dokonujących się przemian. Publicystyka w wydawnictwach oficjalnych ma charakter pragmatyczny: jak ratować gospodarkę, jak w warunkach kryzysu zapewnić sprawiedliwość społeczną, jak ocalić byt narodowy. Piętnem swoistego „opozycyjnego pragmatyzmu” naznaczone są również wydawnictwa nieoficjalnego obiegu. Dotyczy one bardziej tego, jak obalić reżim, rozmontować ustroj, a nie tego, jak kształtować pozytywną przyszłość.

Nadzieje. Są one łatwe do sprecyzowania. Mamy w Polsce do czynienia z unikalną próbą gruntownej demokratycznej modernizacji ustroju socjalistycznego. Możemy zatem mieć nadzieję, iż system, który w wyniku tych przeobrażeń się ukształtuje, będzie odpowiadał warunkom cywilizacyjnym współczesnego świata, a co za tym idzie — stworzył możliwości szybkiego rozwoju ekonomicznego kraju. Z drugiej zaś strony — zachowując, tak czy inaczej, socjalistyczny charakter — kraj nasz będzie mógł uniknąć ujemnych skutków społecznych i kulturalnych wysoko uprzemysłowionych krajów Zachodu. Można znaleźć teoretyczne przesłanki do twierdzenia, iż zmiana panowania nad środkami produkcji, jaką niesie za sobą samorząd, wprowadzi rzeczywiste uspołecznienie środków produkcji i — co za tym idzie — przejście od ustroju opartego na



światopogląd a sposób bycia

WŁODZIMIERZ PAWLUCZUK

państwowym władaniu środkami produkcji, który nazwać możemy (zresztą — w ślad za Leninem) „kapitalizmem państwowym”, do „prawdziwego socjalizmu”, opartego o rzeczywiste społeczne własność środków produkcji. Nie o to chodzi, żebym tak tu twierdził; chodzi natomiast o to, iż w dającej się przewidzieć perspektywie kraj nasz może stać się wzorem zarówno społeczno-politycznego porządku, jak i rozwiązań cywilizacyjnych. Jakaż to jest perspektywa? Niestety, nie bliższa niż rok 2000. A póki co — mamy przed sobą około pięciu lat kryzysu i dalszych pięć lat stopniowego i pracowitego dochodzenia do prosperity. Czy starczy nam siły i cierpliwości?

Spółczesność nasze znajduje się w trakcie samodoskonalenia się, autokreacji. Problem autokreacji jest problemem stosunku: światopogląd a sposób bycia. Podmiot autokreacji — człowiek czy społeczeństwo — posiada pewien uświadomiony werbalizm, dający się opowiedzieć idealnie, ku któremu podąża poprzez zmianę stanu obecnego. To światopogląd. Idealnie ten trzeba „wdrożyć w życie”, zrealizować. Trzeba więc zorganizować narzędzia zmian, opracować technikę działania i opanować ją. Owa technika działania staje się sposobem bycia. Sposób bycia zakreśla zaś horyzont widzenia świata. Tkwiąc w danym sposobie bycia nie da się faktycznie go zanegować. Można go zanegować czysto werbalnie, ale nie z tego nie wynika.

Są to zdania wysoce teoretyczne. Nie tu miejsce na szersze ich oma-

wianie. Chodzi jednak o podstawowy problem zbiorowej autokreacji. Wielkie i piękne ideologie ponoszą klęskę w chwili ich zwycięstwa — można to zilustrować na przykładzie zarówno chrześcijaństwa, jak i marksizmu — dwóch największych w dziejach ludzkości prób przekształcenia sposobu bycia przez światopogląd. By zapewnić zwycięstwo chrześcijaństwu, trzeba było zorganizować Kościół. Ale Kościół stał się celem samym w sobie, sposobem bycia, którego chrześcijaństwo przekroczyć nie jest w stanie, a który przekreślił pierwotne ideały chrześcijaństwa (odnajdują się one później w sektach i zakonach — ale to już inna sprawa).

Podobnie, by zapewnić zwycięstwo ideałom komunizmu, trzeba było powołać partię, rewolucyjną armię, silne państwo, które staje się celem w sobie, sposobem bycia, a które w konsekwencji przekreśla pierwotne ideały komunizmu.

By przezwyciężyć arbitralnie sterowany system i przekształcić go w samorządne, demokratyczne społeczeństwo socjalistyczne, powstać musiała wspólnota gniewnych, wspólnota negacji, jaką jest „Solidarność”. Czy jednak po osiągnięciu celu wspólnota negacji przekształci się we wspólnotę kreacji czy też — prawem zasady, iż w ruchach ideologiczno-politycznym narzędzie, instrument, środek, staje się celem samym w sobie — pozostanie negacją aż do zatracenia wszelkiego sensu, do obłądki, do samozniszczenia? Niebezpieczeństwo tej al-

ternatywy jest groźne. Sam przewodniczący KKP, Lech Wałęsa, stwierdził w swoim czasie w rozmowie z reporterem Dziennika Telewizyjnego, iż ciągły konfrontacyjny sposób działania przesłania działaczom „Solidarności” właściwą perspektywę i rangę spraw — konfrontacja stała się dla nich sposobem bycia. Czy będą mogli go przezwyciężyć w imię wyższych, nadrzędnych racji?

„Solidarność” jest jednak tylko elementem układu, jakim jest całe społeczeństwo. Autokreacji podlega społeczeństwo jako całość, to znaczy: cała jego ideologia, świadomość sensu i celu dokonujących się przemian, jest bardzo mgliste, zarysowana i niejasna. Jeśli pominąć negację tego, co było, i związaną z tym nieufność wobec rządu i partii — jako elementy świadomości zbiorowej dziś już niekonstrukttywne — to w świadomości przeciętnego Polaka pozostaje dość niejasne oczekiwanie Polski bardziej „polskiej” („Aby Polska była Polska”), katolickiej, sprawiedliwej, a jednocześnie w miarę bogatej. W „Solidarności” oprócz tego żywa jest idea „Polski samorządnej”, opartej przede wszystkim o samorząd robotniczy. Ideologią ludzi z KOR-u i KPN-u jest Polska politycznie pluralistyczna na wzór Zachodu, a jednocześnie całkowicie suwerenna i niezależna od jakichkolwiek układów oraz sił międzynarodowych (jest to, oczywiście, szaleństwo i niepoważne — ale tu interesuje mnie stan świadomości społecznej, a nie jej ocena). Program partii koncentruje się na obronie socjalizmu i podstawowych wartości bytu narodowego, zagrożonych w warunkach kryzysu. Jest to jedyny program pozytywny i realny, uwzględniający warunki, w jakich się kraj znalazł, i zagrożenia, jakie płyną stąd dla bytu narodowego. Ale jest to jednocześnie program ogólnie defensywny, nastawiony na obronę państwa, ustroju, podstawowych składników bytu.

Świadomość społeczna jest dynamiczowana i napędzana przez czynniki opozycyjne, a nieraz — ekstremalne. Toteż PZPR, która jest i musi pozostać przewodnią siłą narodu, na polu świadomości społecznej jest siłą, ogólnie biorąc, defensywną. Z różnych, zrozumiałych zresztą, względów partia nie sformułowała wielkiego historycznego sensu dokonujących się przeobrażeń ani nie określiła kształtu przyszłej szczęśliwej, pokrzyzowej Polski.

Byłem w tym roku trzy razy za granicą, na Zachodzie. Za każdym razem to samo: obraz kraju z tej perspektywy wygląda bardzo niepokojąco. W kraju te wielkie niepokoje zostaną rozmyte, rozmięnione na drobne; codziennie się wstaje, gości, stoi się w kolejkach, żartuje się i psioczy, denerwuje się i cieszy. Dla zakrystiana miłość do Boga sprowadza się do miłości do zapalania świec (to Saint-Exupéry). To samo z wielkimi niepokojami i wielkimi ideami — muszą one w końcu być rozmięnione na zwykłą codzienność, stać się sposobem bycia, który zaciemnia lub wręcz uniemożliwia widzenie całości. Oto więc źródło mego niepokoju. Rewolucyjnemu sposobowi bycia brak wielkiego, rewolucyjnego światopoglądu. Nikt nie posiada wizji całości, a jeśli ktoś ją posiada, jest to wizja zawirowana i groźna (vide: KPN). Podążamy zatem ku bliżej nie określonej przyszłości w sposób całkowicie żywiołowy, robiąc co się da w obliczu ciągłych zagrożeń. Przywódcy nekani są nieustannie wzajemnie, konfrontacją lub walką; społeczeństwo — brakiem podstawowych dóbr i walką o nie. To określa sposób widzenia świata i spraw społecznych. Jest to świat walki i hazardu, pozbawiony głębi, wielkiej świadomości historycznych perspektyw, a zatem — zagrożony wewnętrznie wybuchami wściekłości, emocjami chwili.

Fot. GABOR LÖRINCZY

nadzieje i wątplenia

Prezydent Łomży, mgr inż. Jerzy Newelski, nad pytaniem o ilość rolników w mieście zastanawia się tak, długo, jakby poprosił go co najmniej o rozwiązanie trudnej łamigłówki. — Około czterystu pięćdziesięciu będzie ich miał — mówi po chwili. — Są oni w bardzo ciężkiej sytuacji. Piszą do mnie podania, proszą, molestują. Chcieliby się budować. Ale co ja im mogę pomóc, skoro ich zamiary udaremniają plany inwestycyjne miasta. Wspieram ich, jak potrafię; ostatnio przyznałem trzy ciągniki, kilka maszyn towarzyszących, choć, tak naprawdę, są oni w Łomży zupełnie niepotrzebni. Gdyby mieli szklarnie, sady, to co innego, ale trzymają się tradycyjnego modelu gospodarowania. Każdej rośliny uprawiają po dwie-trzy garście, a zbiory idą przeważnie na ich własne potrzeby. No, czasami coś na targ przyniosą.

Gdyby prezydent wywodził się z chłopskiej rodziny, może — kierowany sentymentem — patrzyłby na łomżyńskich chłopów łaskawszym okiem. Choć droga do Urzędu Miejskiego od najbardziej oddalonego gospodarstwa nie przekracza sześciu-siedmiu kilometrów, jest wyjątkowo długa i kręta. Podania, które trafiają do prezydenta, leżą mie-

cej, lecz pochłania je osiedle Jantar. O dawnej świetności gospodarstwa świadczy tylko piękny, duży sad. Harcują w nim wróble i urwisy z całego osiedla. Tu ucza się kraść owoce, orzechy włoskie. Nie muszą się zbytnio wysilać, gospodarz w podeszłym wieku, córka pracuje w PTHW. Jej mąż wyjechał kiedyś do Drozdowa i ślad po nim zaginął. Poszukiwała na własną rękę, robiła śledztwo milicja. Ani widu, ani słychu. Miał na sobie piękny, nowy kożuch.

Plac miał pójść pod kościół, lecz nie dogadali się. Żeby był z niego jakikolwiek pożytek, należałoby go ogrodzić. Nie mają na to pieniędzy. — Zresztą, czy to coś da — po krótkim namyśle, z rezygnacją, mówi młoda gospodyni. — Przecież to są tak zwinne urwisy, że pójda przez płot jak szczury. Wieczorem boję się tedy przechodzić. Na próżno szukać by w tych stronach milicjanta. A bardzo przydałby się, żeby to bractwo choć raz na tydzień przepłoszyć. Drzewka owocowe mają po kilka-

ka, krzesła, stół. Trudno się nawet minąć. Wiosną i latem można tu jeszcze jakoś wytrzymać, ale zimą decydować się na przetrwanie w tej ruderze, to prosić Boga o szybką śmierć.

— Ja sobie nie wyobrażam tu kolejnej zimy — mówi zrozpaczona gospodyni. — Już nas nie muszą brać pod uwagę, ale dziecko.

Na podwórku ciągnik, komplet maszyn rolniczych, żuk. Uprawiają pomidory, ogórki. Za stodołą mają piękny sad.

Od kilku lat między Weberami a Urzędem Miasta trwa wymiana korespondencji. Jeśli zajrzy tu jaki urzędnik, to popatrzy na podwórko, naskrobie coś w kajecie i nawet do

STANISŁAW
ZIELIŃSKI

spychaczem ich

mieszkania nie zagląda, jakby się obawiał, że jego buty jeszcze skażą się tym zabagnionym miejscem.

— Można by o nas powiedzieć — stwierdza Jadwiga Weber — że nie robimy, tylko czekamy na odszkodowanie i na to, aż nas stąd wyrzucą. Ale przecież tak nie jest. Do prezydenta wydeptaliśmy już bardzo szeroką ścieżkę. Twarda jest ona tak samo, jak nasze życie. To miły człowiek. Prosi, aby usiąść w fotelu, pięknie obiecuje, ale przecież nie o obietnice nam chodzi. Jeśli w tych latach nic nie zrobimy, to później, gdy zaczniemy się starzeć tym bardziej.

Dnia 27 listopada 1978 r. zwracali się z prośbą do prezydenta o wyrażenie zgody na remont budynków. Gospodarstwo ich liczy około 10 hektarów gruntów III i IV klasy. Codziennie muszą dostarczać zwierzętom około dwóch tysięcy litrów wody. Wożą ją aż z Nowogrodzkiej, czyli z drugiego końca Łomży. Mieszkanie ich ma tylko jedno małe okno. W prośbie stwierdzają m.in., że budowa wolno stojącego domu nie sprawiłaby im większych trudności, bo większość materiałów już zgromadzili.

Pomimo przypominania się, wizyt w Urzędzie Miejskim, na odpowiedź czekali prawie dwa lata. Szybciej nadeszłyby od samego Sekretarza Generalnego ONZ. W decyzji z 28 marca 1980 r. architekt miejski, mgr inż. arch. Mirosław Grzelak, napisał: „Nakazuje się Ob. Bogdanowi Weberowi rozebrać budynek mieszkalny, gospodarczy i stodołę”. Decyzję motywował złym stanem obiektów, a nawet groźbą ich zawalenia się.

Adresat odwołał się do Urzędu Miejskiego. Dnia 1 czerwca 1981 r. otrzymał pismo stwierdzające, że „Odwołanie Ob. Bogdana Webera od decyzji Prezydenta Miasta Łomży z dnia 4 marca 1981 roku zostanie rozpatrzone w terminie do 30 czerwca 1981 roku, albowiem w powyższej sprawie zwrócono się o wydanie opinii do biegłego do spraw wywłaszczeń, czy pozostałe grunty będą mogły być użytkowane, na cele dotychczasowe, po wywłaszczeniu działki siedliskowej. Z tego tytułu powstała zwłoka w rozpatrzeniu odwołania, za co przepraszamy”. W decyzji z 29 czerwca Wydział Gospodarki Terenowej i Ochrony Środowiska UW zobowiązał prezydenta miasta do przydzielenia Bogdanowi Weberowi działki zagrodowej na terenie Łomży. Obiecał równocześnie wystąpić do naczelnika Urzędu Gminy o sprzedaż siedliska w pobliżu miasta. Wcześniejsze pismo podawało sumy odszkodowania za grunt — 54 458 (za działkę o powierzchni 4129 metrów kwadratowych), oraz materiały budowlane — 337 563 — i drzewostan — 18 639 złotych. W

sumie: władze miasta chętnie wywłaszczyłyby zainteresowanego rolnika, nie gwarantując mu ani działki, na którą mógłby przenieść swoje budynki, ani pieniędzy na odbudowę gospodarstwa. Wprawdzie proponowano mu Kupiski lub Zawady, ale tylko na własny koszt. Nie wyraził zgody. Nie chce się ruszać z Łomży, ponadto nie poradzi sobie z dysproporcją pomiędzy cenami wolnorynkowymi i państwowymi. Wybrał trzecie rozwiązanie: zwrócił się z prośbą o rozpatrzenie jego sprawy przez Naczelny Sąd Administracyjny w Warszawie.

Nazwisko Webera znane jest w każdym łomżyńskim urzędzie. W Zarządzie Gospodarki Terenowej kierowniczką biura, Helena Bukowska, mówi z oburzeniem: — Nie wiem, czego ten człowiek chce. Dawaliśmy mu mieszkanie w bloku po przeciwnej stronie drogi, odmówił. Dostał działkę pod domek jednorodzinny, z tym że w innej części Łomży, odmówił. Teraz odwołał się do Naczelnego Sądu Administracyjnego. Nie wiem, może tam inne obowiązują prawa niż u nas.

W miejskiej służbie rolnej prawie wszyscy pracownicy są zdania, że



Weberowi trzeba pomóc. Ale ze Spółdzielnią Mieszkaniową nie wygra. Już rozpoczęła wznosić swoje budynki i niebawem wejdzie na jego siedlisko. Producent z niego dobry: oddaje dużo świń, uprawia warzywa, owoce, a nawet — mało popularne w Łomży — chryzantemy.

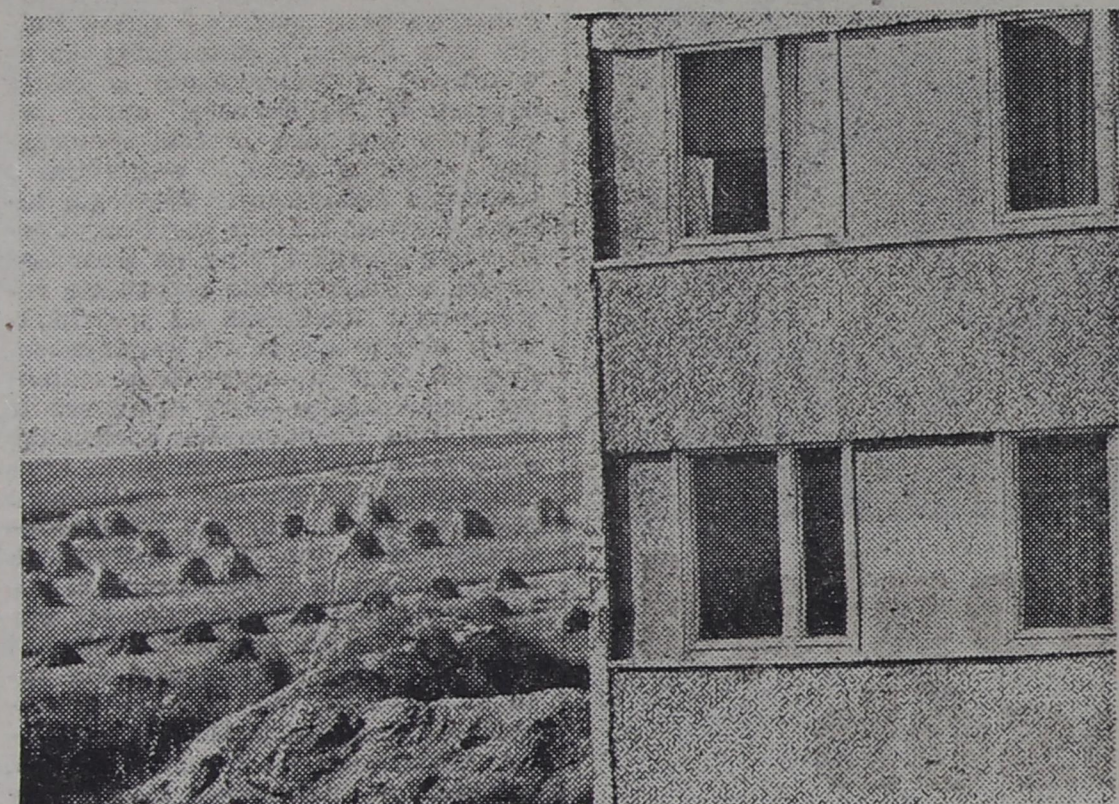
Jerzy Newelski zdumiewa mnie swoją wypowiedzią: — Na upartego można by Weberowi pomóc, bo jest to sprawa do wygrania.

Dlaczego zatem na podania odpowiadał mu inaczej?

Ile chłopskiej ziemi zabrało miasto? Nikt nie prowadzi takiego rejestru. Po prostu wytęcza się plan, administracja egzekwuje, a producenci żywności obierają różne drogi dalszego życia. Wielu z nich żegna się z rolnictwem raz na zawsze. Przenoszą się do bloków, podejmują pracę w „Narwi”. Przedsiębiorstwie Przemysłu Spożywczego, „Pogogazie”. Najbardziej uparci zostają i walczą. Czy wszyscy ponoszą tak sromotną klęskę, jak Weber?

Na spotkaniu mieszkańców Łomży z jej władzami, zorganizowanym przez redakcję „Kontaktów”, problem łomżyńskich rolników wypłynął spontanicznie. Młody gospodarz Henryk Zieliński spytał wprost: „Jak to jest z odszkodowaniami za naszą ziemię na terenach miejskich? Plac w Łomży kosztuje 300 złotych za metr kwadratowy, a nam wypłacają 14,40”. Ktoś inny domagał się: „Dajcie nam, rolnikom, dość do głosu. My też jesteśmy mieszkańcami Łomży”. Inny stwierdzał, powołując się na przykład ze swego życia: „Mieszkam na ulicy Zambrowskiej. Zabrali mi działkę na ulicy, 525 metrów, dali w zamian 475; tyle jest na papierze, bo w rzeczywistości może ze 300 metrów. Za tamtą działkę dałem 10 tysięcy złotych, a tę dostałem w dzierżawę i płacę po 350 złotych już przez 11 lat. Nigdzie nie mogę dojść swoich racji”.

Niezadowolenie rolników narasta, zaś prawo, jednako surowe dla wszystkich, podaje między innymi: „Wywłaszczenie, jako, przymusowa forma odjęcia lub ograniczenia prawa własności indywidualnej na rzecz Państwa, jest środkiem wyjątkowym: może być zastosowane



siacami, a niektóre toną w przepaścistych szufladach. Interesanci przychodzą, dopytują się, a za prawdziwe szczęście uznają fakt zastania głowy miasta.

Bogactwo chłopskiej zagrody zależy od relacji cen, zasobności magazynów w materiały budowlane (choćby zapasu gwoździ w sklepach, które są niezbędne do postawienia, najprostszego nawet szopy).

Przemierzylem wszystkie dzielnice Łomży: Skowronki. Pocijewo, Łomżycę i Rybaki. Wszędzie niskie stodoły, obórki, przycupnięte budynki mieszkalne; wiele krytych słomą. Tylko gdzieś wyrasta nowoczesny zakład gospodarczy, jak ferma kur w zagrodzie Henryka Zielińskiego na Piaskach lub kilkuarowa szklarnia na działce Janusza Załuckiego. W pozostałych zagrodach od kilkunastu lat — mało znacząca gospodarczo krzątania. To umierająca część Łomży przy boku tej, która wpełza na chłopskie pola tysiącami ton betonu.

Helena Szeligowska, od trzynastu lat sołtys Skowronków, martwi się, że nie cała ziemia idzie tu na właściwy cel. Prawie cały ogródek, w którym spędzała wolny czas, zabrano jej pod budowę domku. Kto oddaje ziemię pod zakład czy osiedle, temu łatwiej pogodzić się ze stratą. Na jej grządkach postawił sobie piętrowy dom gburawaty sąsiad, który ponadto w pobliżu jej siedziby wybudował szambo.

— Nie wiem, gdzie ci na górze uczyli się sprawiedliwości — mówi z goryczą. — Mnie zabrali, drugiemu pomogli kawałek ziemi kupić. A przecież w tych ciężkich czasach ogródek przy domu bardzo by mi się przydał. Nie tylko ja zostałam skrzywdzona. Każdemu zabrali, kto tutaj mieszka: Mariuszowi Jankowskiemu, Paulinie Grzechowej, Florze Telesfor, Barbarze Baczewskiej, Stanisławowi Mankiewiczowi. Marian Jankowski miał ziemi bardzo dużo; zostali mu tylko trzy hektary, nie licząc łąk. Gdy robili melioracje, przez jego pole przekopali rów i nie mógł na nie dojechać. Trzy lata czekał, bo musiałby objechać aż 30 kilometrów!

Feliks Bosowski ma obecnie również trzy hektary. Miał kiedyś wię-

dziesiąt lat. Są duże, rozłożyste. W słoneczne dni obdarzają cieniem, jesienią — owocem. Państwu Bosowskiemu ciężko się rozstać z tym miejscem zamieszkania. Tyle zieleni, drzew. Ojcowie za nie nie pójdą do bloku. Córka może się i zdecydować, choć nigdy nie będzie miała tam takiego spokoju, klimatu, — ale za to lepsze warunki: wodę na miejscu, gaz.

Roczną sprzedaż płodów Tadeusza Smiarowskiego przy ulicy Poznańskiej 101 wynosi 14 264, Błazewiczów — 14 337 złotych. W tym roku sprzedali już na kwotę 22 tysięcy; oddali 500 kilogramów żywności. Różni łomżyńscy rolnicy osiągają poziom. Jedni mają po kilka hektarów i stoją zupełnie nieźle, inni prawie po dziesięć i mają kłopoty z osiągnięciem podstawowej wydajności, tzn. rocznej sprzedaży w wysokości 15 tysięcy złotych. Prezydent zakazuje wydawania im kartek na mięso i inne produkty, gdyż uważa, że im się nie należą, bo swoje płody wynoszą na targ. Lecz przeważnie po napisaniu podań i krótkim podroczniku się z nimi — sprawę załatwia pozytywnie. Pracownik służby rolnej wyjaśnia: — Właściwie to im się kartki nie należą, ale czy mamy ich wykończyć głodem?

Jednym z najbardziej drastycznych przykładów niedbalstwa jest gospodarstwo Bogdana Webera przy ulicy Józefa Bema 8, urodzonego w roku 1953. Wchodząc na podwórko po kładce przez kałużę można by sądzić, że rządzi tu niepoń jakiś, nie gospodarz. Żeby nawet kawałek drogi nie wysypać piaskiem? Jednakże po rozejrzeniu się po zabudowaniach ogarnia człowieka konsternacja. Jakże to: w samym centrum nowej Łomży, naprzeciw nowoczesnego osiedla Jantar, ledwo się trzymająca drewniana chałupinka z jednym szczytem, bo drugi polecał z wiatrem w czasie zimy? Mieszkali w niej blisko osiemdziesięcioletni dziadkowie Webera. Przy całym szczyście mieszka gospodarz z żoną i dzieckiem, wśród ścian nadgniłych, pokrytych grzybem. W kuchni prozoryczny piecyk elektryczny i trochę podstawowych mebli: dwa łóż-





dopiero wówczas, gdy właściciel nie zgadza się dobrowolne odstąpienie nieruchomości w drodze cywilnoprawnej umowy". Szanse na wygranie swojej sprawy i obronę gospodarstwa są więc niewielkie. Prawo służy państwu, nie rolnikowi.

Ostatnio do łomżyńskich biur napłynęło wiele podań z prośbą o zmianę cen za wykupioną ziemię. Rolnicy domagają się realizacji porozumień z Ustrzyk Dolnych i Rzeszowa, a więc honorowania cen wolnorynkowych i poszanowania prawa własności. Nie ma jeszcze w tej sprawie żadnych przepisów. Wszystko się toczy po staremu. Kierownik Zarządu Gospodarki Terenowej, Helena Bukowska, twierdzi, że rolnicy są w błędzie, bo państwo obecnie i tak im płaci bardzo dużo.

To prawda, apetyt rośnie w miarę jedzenia. Jeszcze niedawno wywłaszczeni otrzymywali po 3,30 za metr kwadratowy. Spotkany przeze mnie na polu rolnik, tuż obok osiedla Jantar, niemal płakał za swoją krzywdę. Powiedział: — Zżarli mi całe gospodarstwo. Obecnie tak nie skrzywdzi człowieka, jak swój.

Działo się tak jeszcze przed odnową. Przybyło nadziei na zmianę przepisów, z korzyścią dla chłopów. Liczą na nią nawet ci, którzy kilka miesięcy temu wyrazili zgodę na poprzednią cenę.

Ze względu na budowę wału przeciwpowodziowego wywłaszczenie zagrożą trzydziestu rolnikom. Ponad połowa złożyła odwołania. Żądają po 35 złotych za metr kwadratowy. Do grubej teczki z aktami dołączone są te — zdaniem pani Bukowskiej — pobożne życzenia, bo co jak co, ale wał przeciwpowodziowy to także ogromna korzyść dla nich. Na cel społeczny mogliby te kawałki swoich działek przeznaczyć.

Śmieję się z tej oferty, bo wiem, że ci ludzie, przeważnie w podeszłym wieku, inaczej rozumieją wartość swojej rodzinnej ziemi, posiadanych przedmiotów, a nawet pieniędzy, na które wielu młodych narzeka, jako na bilety bez pokrycia. U nich są one nadal w cenie. Więc przeciwko niskim stawkom protestują m.in. Józef Chojnowski, Alina Cwalina, Jan Cwalina, Henryk Blusiewicz. Czekają na roprawę.

W obecnej, kryzysowej sytuacji, kiedy w sklepach obowiązują kartki na wszystkie niemal produkty spożywcze, wykurzanie rolników z Łomży kłóci się ze zdrowym rozsądkiem. Miejscowym władzom śni się po nocach wielka aglomeracja, której nie sposób pogodzić z chodzącą po trawniku owcą czy świnią.

Byłem świadkiem zgarniania przez spychacz budowlany plonującego żyta. Rolnika wysiedlili, a on — znając powszechne tempo budowania — jeszcze zaryzykował i pole obsiał. Tym razem akurat się przeliczył, ale przy obopólnym dogadaniu się mógł jeszcze, na ponad hektarowym polu, urządzić w tym roku żniwa, bo do dziś — poza zepchniętą ziemią — nic się tam nie zmieniło.

Stary łomżyński pszczelarz, Jan Gałązka z ulicy Spokojnej 12, protestował nawet w samej Warszawie przeciwko miejscowym rolniczym paradoksom. Powiada: — Gospodarności powinniśmy się uczyć od pszczół. Im nie potrzeba żadnych związków zawodowych. Wiedzą, kiedy pracę zaczynać, kiedy kończyć. W tym roku narobiły mi tyle miodu, co dziesięć lat temu. Nadzieja cechuje pszczelarzy i rolników: jeśli się coś teraz nie urodzi, to za rok za dwa się wyrówna. Potrzeba nam uczciwej pracy i wiary. Bałagan polityki nie przyniesie. A polityka rolna w Łomży, jak i w całym kraju, przypomina dziecko: jeśli czegoś nie może zjeść, to nogą rozdepta.

Jak bumerang powracają do mnie obrazy porożbijanych płyt z poligonu budownictwa mieszkaniowego. Niszczyją kolejny rok. Jakże przydałyby się rolnikom na błotniste podwórka. Problem stał na sesji Wojewódzkiej Rady Narodowej. Trafił do protokołu. Czy ktoś sobie o nim przypomni? Zabierający na tej sesji głos dyrektor Łomżyńskiego Przedsiębiorstwa Budowlanego, Tadeusz Stolewski, nie wspominał o sprawie ani słowem. Jakby nie słyszał. A może to drobiazg, któremu — jego zdaniem — nie warto poświęcać czasu na takim forum?

Na podłomżyńskich łakach została przeprowadzona melioracja. Rolnicy płacą za nią i nie korzystają z jej dobrodziejstw od trzech lat. Dreny nieczynne, bo nie ma odpływu. Przy ulicy Poznańskiej w 34 gospodarstwach wałęsały się budynki. Podobnie jak u Webera, nie można ich remontować ani nowych stawiać. Dogorywają śmiercią naturalną. W „Narwi” pobudowano studnię głębinową, ale o tym, że może ona pochłoniąć wodę z chłopskich studni, nikt nie pomyślał. Więc — podobnie jak Weber — wożą ją łomżyńscy rolnicy po kilka kilometrów. Krzywa absurdu rośnie.

Pomimo szumnych apelów, ustaw i uchwał, rolnictwo w Łomży samo się ratuje i samo żywi. Nikt mu nie pomaga, a każdy skubie. Wygląda jak urwis, który z domu poprawczego wyrwał się na ulicę i nie wie, dokąd się udać, bo jest przekonany, że zaraz go złapią, a gdy się zacznie rzucać, zwiążą i odwieżą na zaplecze, aby nie przynosił wstydu swoim opiekunom.

Fot. GABOR LÖRINCZY

W odpowiedzi na notatkę zamieszczoną w 37 numerze „Kontaktów”, dotyczącą wystawiania kart gwarancyjnych na naprawy odpłatne, świadczone przez zakład usługowy 081-4 w Łomży, Wojewódzkie Przedsiębiorstwo Handlu Wewnętrznego w Łomży informuje, że taka forma wystawiania gwarancji na usługi odpłatne jest opracowana przez CPHW i obowiązuje we wszystkich zakładach usługowych branży RTV i AGD podległych WPHW w całej Polsce. Karta naprawy (rachunek) jest zawsze wystawiana w dwóch egzemplarzach, z których oryginał otrzymuje zleceniodawca, natomiast kopia pozostaje w aktach zakładu usługowego. Oryginał rachunku stanowi jednocześnie gwarancję na wymienione elementy i wykonane czynności naprawcze, nie stanowiąc gwarancji na cały sprzęt. Przy ponownym zgłoszeniu naprawy odpłatnej wskazane jest w zasadzie przedstawienie rachunku (gwarancji), gdyż odszukiwanie kopii rachunków pozostających w aktach placówki jest bardzo czasochłonne, ze względu na to, że zakład zawsze posiada w swoich aktach około 20 tysięcy odpisów kart napraw, które są przechowywane w zakładzie przez okres dwóch lat. Wystawianie oddzielnych gwarancji na usługi odpłatne nie ma uzasadnienia ekonomicznego i spowoduje niepotrzebne zużycie dodatkowych ton tak bardzo potrzebnego nam do innych celów papieru. Dotychczas zawsze w uzasadnionych przypadkach zakłady usługowe wycofywały ze swoich akt potrzebne kopie rachunków i ta zasada będzie obowiązywać nadal w naszych zakładach usługowych, gdyż nie zależy nam na podwyższaniu kosztów świadczonych usług.

mgr inż. ANTONI DANOWSKI
Główny Specjalista ds. Usług WPHW
w Łomży

Jestem kibicem sportowym i z tego też powodu często przebywam na stadionie WOSiR w Łomży. Zająście, jakiego byłem świadkiem 20 września 1981 r. oburzyło i zdumiało nie tylko mnie. W tym dniu na stadionie odbywały się zawody lekkoatletyczne młodzieży szkół podstawowych. Nauczyciel prowadzący konkurencje biegowe polecił jednej z uczennic kontrolę na bieżni, aby zawodnicy nie skracali sobie trasy. Po zakończeniu konkurencji nauczyciel wychowania fizycznego Szkoły Podstawowej nr 3 w Zambrowie, będący w stanie nietrzeźwym, podszedł do wyznaczonej do pilnowania porządku na bieżni uczennicy i uderzył ją w twarz. Uczennica rozplakała się, a nauczyciel usiadł na płotek okalający bieżnię.

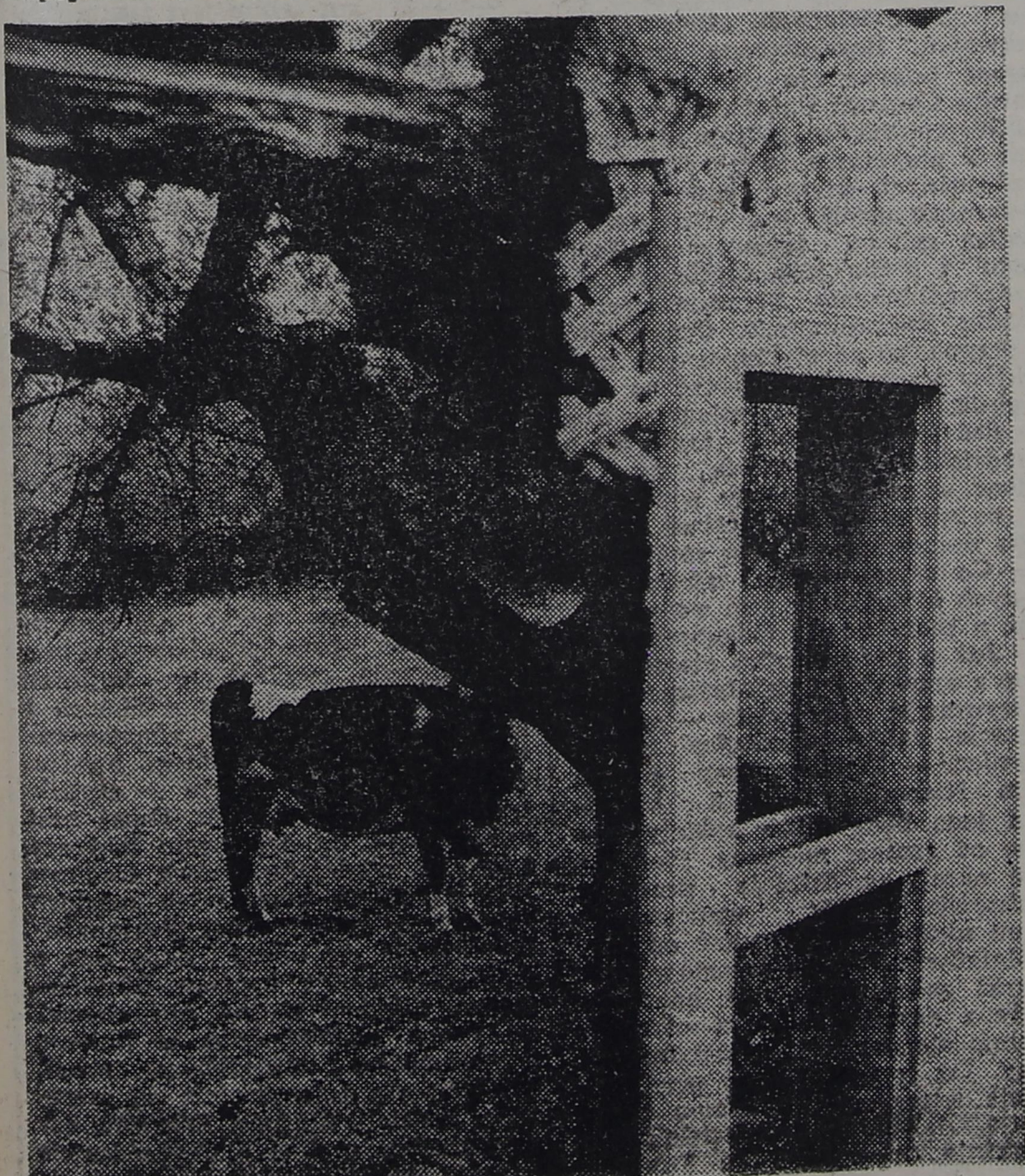
Ciekawi mnie, jakie jest stanowisko władz oświatowych wobec pseudowychowawcy z Zambrowa.

(Nazwisko do wiadomości redakcji)

W nawiązaniu do notatki zamieszczonej w rubryce „Spieczę” („Kontakty” nr 37), dotyczącej pielęgnacji drzew na trasie Łomża — Piątница Dyrekcja Rejonu Dróg Publicznych w Łomży wyjaśnia: W myśl ustawy z dnia 29 marca 1962 r. o drogach publicznych R.D.P. w granicach administracyjnych miast, osiedli, wsi administrują tylko jezdnie dróg przelotowych oraz mosty i przepusty na tych drogach. Natomiast chodniki, zieleńce, zadrzewienie, wodociągi, kanalizacja itp. należą do Rejonowego Zakładu Gospodarki Komunalnej i Mieszkaniowej w Łomży. Granica administracyjna miasta Łomży w kierunku Piątnicy przebiega na moście przez Narwę. Zadrzewienie na odcinku drogi Łomża — Piątница należy więc do R.Z.G.K. i M. Zakładu Zielonej Miejskiej w Łomży.

JANUSZ KARPINSKI
Z-ca Dyrektora ds. Utrzymania Rejonu Dróg Publicznych w Łomży

OD REDAKCJI: Cieszy, że dzięki nam wykonano już szmat roboty. Jej efekt wolelibyśmy oglądać na trasie Łomża — Piątница. Piłeczkę przekazujemy komu trzeba i — gramy dalej.



samorządu pracowniczego. Na ogólnym zebraniu w dniu 14 VII br. pracownicy WPHW wybrali spośród siebie 30-osobową reprezentację, która odąd miała — zgodnie z przyjętym regulaminem — współdecydować o wszystkich przedsięwzięciach swego zakładu pracy, pośrednika pomiędzy producentem a konsumentem.

Praktycznie na producenta dotychczas Przedsiębiorstwo żadnego wpływu mieć nie mogło; mogło mu jedynie być wdzięczne, że istnieje i rączy cokolwiek robić. Wysiłki należało zatem skierować wyłącznie na pobudzenie operatywności i pomysłowości załogi, aby pojęła, że interes Przedsiębiorstwa pokrywa się z jej stopą życiową i — co jest sprawą z kategorii nosa i tabakierzy — zadowoleniem klientów. Od 11 br. przestał przedsiębiorstwom krępować ręce towarzyszy limit w odniesieniu do funduszu płac; należało go zatem tak podzielić, szczególnie tę część ruchomą, aby branzystów zainteresować zdobywaniem towarów poza rozdzielnikiem, a sprzedawców — prowizją, czyli niczym nie hamowaną chęcią obsługi klienta. Gdyby jeszcze udało się ograniczyć tę przeogromną ilość decydentów, którzy w zdobywaniu artykułów nie pomagają i nie ułatwiają przydziałów lokali (niemal cała baza handlowa WPHW nie ma koniecznego zaplecza, co komplikuje dostawy i opóźnia sprzedaż), za to wiedzą najlepiej, w jakich godzinach np. handel powinien funkcjonować, jakby za ładami stały roboty, a nie matki i ojcowie; na domiar złego co kwartał domagają się planów i sprawozdań. Ponadto wydają in blanco kontrolne upoważnienia członkom komisji społecznych, które tworzą praktycznie żarłoczne grupy nowych hien sklepowych, wywlekających z zapleczy najatrakcyjniejsze towary dla siebie, a niekompetencje pokrywających butą. Zdarzyło się, że taka komisyjna hiena, obłowiwszy się uprzednio w sztruks, nasyłała na sklep zastęp swoich koleśków, aby i oni skorzystali z przywilejów jej władzy. Inna skarciła kierowniczkę placówki za „chowanie” na zapleczu kozaków latem, po czym nabyła je niezwłocznie. Niech raczej czekają na zimę w prywatnej szafie. Itp.

Te i inne bolączki życia codziennego handlowca zostały spisane na spotkaniach dyrektora i przewodniczącego samorządu z załogami pięciu rejonów w sierpniu br., aby pierwsza Konferencja Samorządu Pracowniczego, zwołana na 12 VIII, mogła uchwalić harmonogram realizacji wniosków i postulatów oraz włączyć go do planu działalności Przedsiębiorstwa na następny miesiąc i kwartał.

Wówczas to po raz pierwszy powinna była zrzędnąć młoda dyrektorka, której się wydawało, że ludzkom wystarczy powiedzieć wszystko o ich zakładzie pracy, a następnie umożliwić wypowiedzi, aby nagle poczuła się współodpowiedzialną za całość, czyli: ogarnęła szybko wyobraźnią owe czarodziejskie trzy „S” i ich wpływ na jednostkowe życie każdego z nich. Na ziemię musiała go sprowadzić drobiazgowość postulatów padających na Konferencji, w których nie było cienia troski o prosperowanie Przedsiębiorstwa w okresie zerowego stanu magazynów. Nikt z delegatów nie zapytał, czy aby za dwa miesiące Przedsiębiorstwo będzie miało czym handlować, czy nie straci racji bytu.

Drugim kubłem wody, studzącym dobrą wolę dyrektora, była wypowiedź Przedstawiciela Instancji: — Jeśli z trzech wartości, jakimi są spokój społeczny, jedzenie i koszula, damy pierwszeństwo koszuli, musimy się zastanowić, jak nią handlować najlepiej. I nie należy walczyć ze słabymi staruszkami oraz inwalidami, ale ze spekulacją. Co zaś się tyczy niezależności Przedsiębiorstwa, to radzę odejść od złudzeń, bowiem żadne przedsiębiorstwo nie istnieje w próżni, bez władz i organów nadzorczych. Nie zapominajmy też o naszej partii.

I stała się jasność. Przynajmniej dla mnie. Należało czekać z uprawnieniami przedsiębiorstw i ich samorządów do czasu wydania oficjalnych ustaw. Już dziś wiemy, że „Ustawa o samorządzie załogi przedsiębiorstwa państwowego” z 25 września br. w 1 punkcie art. 1 rozdziału I, dość enigmatycznie interpretuje kwestię podniesioną przez Przedstawiciela. Mówi ona miano-

wicie, że „Samorząd załogi oraz jego organy realizują zadania określone w ust. 2 niezależnie (podkr. S.H.) od organów administracji państwowej, organizacji społecznych, związkowych i politycznych” — przy czym nie wiadomo, czy „niezależnie” znaczy samodzielnie i samowolnie, czy też równolegle.

Jednocześnie z przeprowadzeniem zmian strukturalnych i nowych zasad premiowania w Przedsiębiorstwie sztab dyrekcyjny, czyli organ samorządu, musiał przyjąć środki zaradcze na puste półki sklepowe w ostatnim kwartale i kolejnych następnych roku. Pewnie że mógłby tym zająć również organizacje polityczne i związkowe przedsiębior-

stwa, aby wpaść w panikę. A przecież mleko stanowi zaledwie fragment obrotu towarowego.

Proszę Stefana Sutyńca o zwołanie wszystkich członków dyrekcji. Oni znają te liczby, a ja dodatkowo rysuję przed nimi wizję rozpaczliwie pustych półek i magazynów. Trzy spośród pięciu osób niżej nie mogą przyjąć za możliwe moich słów. Wierzę w rychłe wdrożenie reformy i związanych z nią — wszystko i od zaraz regulujących — przepisów. Największy sceptycyzm bije ze słów mgr Łucji Karolczuk.

**STEFANIA
HENCZEŁOWA**

sztachety na wykałaczkach



stwa, ale jak — nie komplikując nikomu pracy — zgromadzić na raz w jednym miejscu pięciu rejonowych sekretarzy POP, pięciu przewodniczących kół ZSM, trzech przewodniczących rad związkowych i przewodniczącego samorządu! Do tej wewnętrzno-gospodarskiej burzy mózgów wypadałoby też zaprosić wszystkich kierowników rejonów i przynajmniej prezydium rady pracowniczego. W tej sytuacji sześciuosobowa dyrekcja postanowiła projekt sposobów zdobywania towarów wziąć na siebie, a następnie go z przedstawicielami organizacji przekonsultować i uzupełnić, nie odwołując już dłużej realizacji metod zatwierdzonych przez Konferencję: bezwzględne egzekwowanie dostaw zakontraktowanych, dokonywanie dodatkowych zakupów i premiowanie branzystów oraz kierowników sklepów za operatywność w tym względzie, rozszerzenia oferty w dziale wyposażenia mieszkań i wyprawek dla niemowląt, uściślenie współpracy z rzemiosłem i przemysłem terenowym oraz zagranicznymi firmami polonijnymi, szybszej naprawy sprzętu reklamowanego lub uszkodzonego przed trafeniem do klientów.

Tak, mało w tym zestawieniu metod działania, więcej — zamiarów i przymiarek. Prawdę mówiąc, byłam nieco zaniepokojona o byt Przedsiębiorstwa — a właściwie: o samopoczucie nabywców — po zapoznaniu się z tym harmonogramem. Zanim jednak objaśniono mi szczegóły, zostałam skutecznie ostudzona na okoliczność rozbudzenia zbyt dużych nadziei, a potem — rozczarowań. Otóż dyrektor zapytał mnie, jak można zaspokoić rynek przy rosnącej wciąż sile nabywczej, a kurczącej się — dostawczej? Obrazowo wygląda to tak: normalnie prosperujące WPHW w Łomży zamyka roczny obrót sumą 1200 milionów złotych; w gospodarce uspołecznionej województwa pracuje ok. 60 000 ludzi zarabiających średnio po 6000 złotych, co daje rocznie 4320 milionów. To jeszcze pół biedy. Wystarczy jednak wiedzieć, że rolnicy łomżyńscy sprzedają dziennie 8000—9000 litrów mleka, za które otrzymują ok. 12 milionów złotych, i porównać je z dziennym obrotem handlu (4,5 mi-

liona), aby wpaść w panikę. A przecież mleko stanowi zaledwie fragment obrotu towarowego. Proszę Stefana Sutyńca o zwołanie wszystkich członków dyrekcji. Oni znają te liczby, a ja dodatkowo rysuję przed nimi wizję rozpaczliwie pustych półek i magazynów. Trzy spośród pięciu osób niżej nie mogą przyjąć za możliwe moich słów. Wierzę w rychłe wdrożenie reformy i związanych z nią — wszystko i od zaraz regulujących — przepisów. Największy sceptycyzm bije ze słów mgr Łucji Karolczuk.

Stefania Henczełowa, ani sceptycyzm Łucji Karolczuk, ani optymizm pozostałych członków dyrekcji, nie przesłaniają im potrzeby działania w ramach przydzielonych „Ustaw” uprawnień. Bezskuteczna może się okazać interwencja w Zarządzie Obrotu Centrali Państwowego Handlu Wewnętrznego, jeśli producent z jakiejś przyczyny nie wywiąże się z obiecanych dostaw, podobnie jak bezowocna może być comiesięczna analiza spływu towarów z „Tori-mexu” i próba jego zdopingowania za pośrednictwem Przedsiębiorstwa Handlu Zagranicznego. Oczywiście, w przypadku specjalistycznych produktów trzeba będzie liczyć na rozdzielnik krajowy, natomiast — aby nie dać się biedzie — łomżyńskie Przedsiębiorstwo będzie musiało zadbać samo o artykuły podstawowe, co nie wydaje się łatwe w tak słabo uprzemysłowionym regionie.

Co zatem można zdobyć dla waszych klientów w tym województwie, a może nawet makroregionie? Już w październiku otworzymy sklep z artykułami składającymi się na wyprawki niemowlęce — uchyla wreszcie rąbka tajemnicy Stefan Satyniec. — Zlokalizujemy go na placu Niepodległości, a klientkami jego będą tylko kobiety ciężarne od sześciu miesięcy. Pieluchy szyje nam spółdzielnia pracy w Zambrowie. Część wyposażenia sklepu zamierzamy uzyskać od rzemieślników i innych resortów gospodarki zajmujących się handlem. Każdy z naszych rejonów otrzyma podobne stoisko ze sprzedażą na zapisy. Do realizacji tego przedsięwzięcia włączymy zakładową organizację ZSM; niechże jej członkinie powiększają Fundusz Aktywności Socjalnej Młodzieży

szyciem na maszynach. No, z koszulami czy pościelą sobie nie poradzą, dlatego materiał na koszule wysyłamy do spółdzielni w Suwałkach, a pościelówkę — do Zambrowa. Ponadto tkaniny ubraniowe i włóczkę przeistoczy nam w konfekcję Zakład Pracy Nakładczej WSS „Społem” w Grajewie. Znacznie poszerzamy zakupy od rzemieślników; dotyczy to artykułów potrzebnych w gospodarstwie domowym, jak i tych, które dotychczas nie wchodziły w profil obrotu handlu wewnętrznego: szkła, ceramiki stołowej, ceramiki sanitarnej, artykułów metalowych, instalacyjno-elektrycznych oraz wyrobów z tworzyw sztucznych. One to, wraz z meblami od producentów polonijnych i artykułami krajowymi, zdobywanymi bezpośrednio w zakładach pracy (które zamierzamy regularnie odwiedzać), złożą się na nasz nowy dział: zaopatrzenia mieszkań.

Planować można, zabiegać, konieczne trzeba, ale ze zdobyciem niezbędnych przedmiotów bywa różnie — mówi Łucja Karolczuk. — Oto od dłuższego już czasu nie mogę znaleźć producenta łóżeczek dziecięcych, a maluchy nie bardzo chcą czekać: rodzi ich się rocznie w województwie ok. siedmiu tysięcy. Może ten dylemat rozwiąże sklep prowadzący skup i odsprzedaż artykułów używanych, jaki zamierzamy otworzyć już w październiku br. Sporo towarów wróci nam na rynek z zakładów usługowych, które zobowiązaliśmy do bezwzględnych i solidnych napraw. Dotyczy to przedmiotów z wadami fabrycznymi lub uszkodzonych w transporcie. Tkanin również nie zamierzamy przetrzymywać w magazynach, lecz za zgodą „Narwi” cały przydział, określony umowami planowymi, będziemy przekazywać bezpośrednio do sklepów w rejonach.

Sporo tych zamierzeń. Wśród nich — tak długo przez wiele środowisk oczekiwane — zmniejszenie o połowę sprzedaży papieru kancelaryjnego instytucjom i zakładom pracy! Szkoda, że podobna decyzja nie objęła papieru przebitkowego, wówczas może na jedno krzesło, kupowane np. w Wojewódzkim Związku Spółdzielni Rolniczych, nie będzie się wypisywać faktury w siedmiu egzemplarzach A4!

Czy handel łomżyński poradzi sobie w tej ciężkiej opresji? Na pewno, ale nie bez udziału sojuszników. Nie takich, którzy każą mu na drzwiach lub szybach wywieszać faktury, nie takich, którzy konieczność chcą reformować jego godziny pracy, innymi pomysłami chwilowo nie dysponując. Handel potrzebuje mecenasa, który będzie czuwał nad polityką podatkową i ułatwiał otrzymanie dotacji bankowych na potrzebne regionowi inwestycje przemysłowe, które wydatnie wspierałyby handel, a także decydował o tym, czy ten przemysł prawidłowo rozwijają właściwi ludzie. Handlowi potrzebny jest taki sprzymierzeniec, który rozumie rachunek finansowy, preferuje te dziedziny handlu, które województwu wydają się niezbędne, oraz umie dla nich wywalczyć optymalnie zlokalizowane placówki. Inne formy „opieki” stanowią ciężką kłodę u nóg ludzi, którzy muszą nie tylko wyjść na swoje, ale utrzymać Przedsiębiorstwo, czyli nieustannie zaopatrywać rynek. Czas utrzymywania nieprzdatnych mecenasów bezpowrotnie mija, podobnie jak czas obowiązkowego zrzeszenia się przedsiębiorstw.

Wkrótce, na skutek kolejnych zmian cen, gotowość nabywcy społeczeństwa znacznie zmaleje. Wprowadzić jeszcze wówczas rozdzielnik krajowy ani wymiana towarowa pomiędzy przedsiębiorstwami handlowymi nie wystarczą, ale też rozpaczliwe braki nie zmuszą WPHW do uprawiania i obróbki lnu, zatrudniania cygańskich kotlarzy czy rozbierania płotów wiejskich i strugania ze sztachet — własnoręcznie, z braku przedmiotów handlu, czyli właściwego zajęcia — stylisk, trzonków i wykałaczek. Dwaj nasi ministrowie, od przemysłu lekkiego i handlu, niedaleko szukali środków zaradczych na niedostatek męskich skarpet: w ich długości. Postanowili wspólnie, że odtańd będą one o dwa centymetry krótsze. Mniejsza z tym, z której strony, aby chociaż na rynek trafiły! Otóż w imieniu konsumentów, chciałabym prosić WPHW: nie oszczędzajcie na szerokości pościeli, długości rekawów czy powierzchni pieluch. Oszczędzajcie energię, która pochłania oglądanie się na innych.

Nawiązując do artykułów Państwa D. i A. Wroniszewskich zamieszczonych na łamach tygodnika „Kontakty” — „Grube ryby i węgorze” oraz „Swój w urodziwym terenie” uprzejmie wyjaśniam:

Powołany zostałem na Naczelnika Miasta i Gminy Rajgród 12 lutego 1974 roku, z poważnymi zaniedbaniami na odcinku budownictwa drogowego i infrastruktury miasta. Od razu przystąpiłem do poprawy stanów istniejących dróg. W roku 1974 zbudowałem przy poparciu społecznym mieszkańców około 14 km dróg. Miasto i Gmina Rajgród za budownictwo drogowe zajęła pierwsze miejsce w województwie białostockim i otrzymała 900 tys. nagrody. Prawda jest, że była budowana droga na Kolonii Prawej w 1974 r. Budowali ją trzej rolnicy — wszyscy zamieszkali w Rajgrodzie. Sprawa ta była przedmiotem dochodzenia, które zostało jednoznacznie umorzono — dokumenty w Prokuraturze w Łomży. Chciałbym dodać, że odbiory wszystkich zbudowanych dróg dokonywał inspektor nadzoru. Kosztorysy powykonawcze zbudowanych dróg i protokoły odbioru znajdują się w aktach tut. Urzędu.

Ponieważ redakcja nie ujawniła nazwiska przypuszczam, że sprawa ciągnika dotyczy Ob. Orzechowskiego — mieszkańca Rajgrodu. W początkowym okresie w/w nie mógł otrzymać ciągnika ponieważ należał do zespołu rolników indywidualnych, a przewodniczący tegoż zespołu otrzymał przydział na ciągnik. Po wystąpieniu z zespołu Ob. Orzechowskiego przewodniczący zespołu zrezygnował z ciągnika i ciągnik ten został przyznany Ob. Orzechowskiemu, w systemie przedpłat z terminem odbioru do 1980 roku. W/w otrzymał także snopowiązałkę, a nie kupował jej prywatnie w Bargłowie.

Oświadczam jednocześnie, że nie znana mi jest sprawa pobierania łapówek ani też nie przyjmowania podań przez pracowników prowadzących te sprawy. Podania o przydział sprzętu rolniczego nie były przyjmowane dopiero wtedy, gdy roczny rozdziałnik został wyczerpany. Sprawa przydziału ciągnika dla Ob. Mulewskiego jest prawdziwa. W/w otrzymał ciągnik C-330 dnia 24 marca 1978 roku, który posiada do dziś.

Obywatela o nazwisku Namiotko w Sołkach nie ma. Przypuszczam jednak, że chodzi tu o Ob. Nasiadko zamieszkałego w Pieńczykówku, który faktycznie otrzymał przydział na młóckarnię i snopowiązałkę. Po otrzymaniu donosu, że w/w sprzedaje gospodarstwo zleciłem organom MO dochodzenie w tej sprawie. Organ MO stwierdził, że Ob. Nasiadko odebrał młóckarnię i ją posiadał. Natomiast przydział na snopowiązałkę cofnąłem. Sprzedaż gospodarstwa nastąpiła w rok po wydaniu decyzji na przydział maszyn, tj. w końcu 1980 r.

Obywatel Zawadzki otrzymał ode mnie przydział na przetraszczać widły, których w 1980 roku było bardzo dużo i wszystkie podania zostały załatwione pozytywnie.

W roku 1976 powstał zespół rolników indywidualnych w mieście Rajgród w składzie: Popko Piotr — przewodniczący, Popko Zdzisław — członek, Orzechowski Antoni — członek. Po upływie roku, w wyniku wewnętrznych nieporozumień, wystąpił z zespołu Ob. Orzechowski. Na skutek pouczenia przez Kierownika GSR przewodniczący zespołu dokoptował Ob. Popko Waleriana. Zgodnie z obowiązującymi przepisami wiek członków zespołu nie odgrywa żadnej roli. Zespół ten nie przejawiał żadnych form zespołowego gospodarowania, chociaż każdy z jego członków prowadził w sposób należyty własne gospodarstwo. Z chwilą wejścia w życie ustawy o systemie emerytalnym rolników Ob. Popko Walerian na własną prośbę wystąpił z zespołu, a następnie przekazał swoje gospodarstwo dla innego syna Ob. Popko Witolda (za emeryturę). W takiej sytuacji po raz drugi zespół rozpadł się bez winy administracji państwowej. Przewodniczący tegoż zespołu ponownie został zobowiązany do dokoptowania jednego członka — czego nie uczynił. Po upływie terminu zespół został rozwiązany. Proponowaliśmy przekwalifikowanie na gospodarstwo specjalistyczne Ob. Popko Piotrowi. Z szansy tej nie skorzystał i własne grunty przekazał Rolniczej Spółdzielni Tuczu Trzody Chlewnej w Rajgrodzie. Syn jego Zdzisław dużo wcześniej podjął pracę jako traktorzysta w tejże spółdzielni.

W roku 1975 wydzierżawiłem z

Miejskiego Funduszu dla Ob. Popki Zdzisława 5,02 ha gruntów. Po przyłączeniu Gminy Belda zostałem zobowiązany do wypowiedzenia wszystkich umów dzierżawnych (na około 900 ha) w związku z pracami scaleniowo-wymiennymi na obiekcie Kuwasy. W związku z tym wypowiedziałem dzierżawy m.in. Zdzisławowi Popko a także Julianowi Skien-dzielewskiemu. W trakcie trwania prac scaleniowo-wymiennych między innymi i z mojej inicjatywy powstały 4 spółdzielnie produkcyjne w celu wykorzystania gruntów odlegających. Pozostające grunty po zakończeniu prac scaleniowo-wymiennych przekazałem w części rolniczym spółdzielniom produkcyjnym, a resztę (około 300 ha) wystawiłem do sprzedaży dla rolników indywidualnych. Gruntów na terenie miasta — zgodnie z obowiązującymi przepisami — nie mogłem i nie mogę sprzedawać.

Poruszona w artykule sprawa Z. G. dotyczy według mego przypuszczenia Ob. Zofii Gryczkowskiej, zatrudnionej w Gospodarce Komu-



nalnej jako ładowaczka nieczystości. Z dniem 31 maja 1981 roku umowa o pracę i płacę z w/w Obywatelką została rozwiązana.

Elewacja budynku Urzędu Miasta i Gminy została wykonana w roku 1974 na zlecenie byłego naczelnika. W dniu 21 sierpnia 1978 roku rozpoczął się kapitalny remont wspomnianego budynku. Remont polegał na wymianie stropów, więźby dachowej, doprowadzeniu wody i centralnego ogrzewania. Funkcję inwestora zastępczego objął Wojewódzka Dyrekcja Rozbudowy Miast i Osiedli Wiejskich w Łomży, a wykonawstwo Ob. Wojewoda powierzył WPBK w Łomży. W związku z tym nie pracuję tam żadna moja brygada, a moja rola ograniczyła się jedynie do inspirowania inwestora zastępczego i wykonawcy, bez możliwości bezpośredniej ingerencji w sprawy remontu. Moim zdaniem remont trwa długo i przebiega słabiej. Do chwili obecnej występuje półtoraroczne opóźnienie oddania budynku do eksploatacji. Zabezpieczenie obiektu, jak również odgrodenie chodnika wykonał wykonawca, tj. WPBK. Faktycznie w dniu 14.04. br. zdarzył się niebezpieczny wypadek, lecz jednak z tym nie mam żadnego związku. W wyniku moich interwencji lekki płot drewniany został przeniesiony na pół chodnika, co pozwala na swobodne przejście chodnikiem.

Remont agronomówki w Rajgrodzie został rozpoczęty w marcu 1980 roku z uwagi na trudności w znalezieniu wykonawcy, który by się podjął kompleksowo wszystkich prac i braku limitów dla gospodarki nieuspołecznionej w roku 1980; remont moim zdaniem przebiegał opanie. Budynek agronomówki

został przekazany do użytku w końcu maja br.

Zgodnie z planem przestrzennego zagospodarowania miasta i gminy opracowano plan zagospodarowania zachodniego brzegu jeziora Rajgrodzkiego. Plan opracowało Woj. Biuro Planowania Przestrzennego w Łomży, a zatwierdziła Rada Narodowa Miasta i Gminy Rajgród, publikując swoją uchwałę w Dz. U. WRN. W wyniku opracowania tego planu wyznaczonych zostało pięć kolonii pod zabudowę letniskową: 1. Przylądek — 19 działek; 2. Zatożka — 25 działek; 3. Podkowa — 6 działek; 4. Cypel — 15 działek; 5. Myśliwska — 28 działek. Łącznie 94 działki. Od powstania PRL do obecnej chwili jest wybudowanych 65 domków, z czego 32 bez pozwolenia na budowę — przed objęciem przeze mnie funkcji naczelnika. Przy wyznaczeniu terenów rekreacyjnych, ustalaniu listy kandydatów oraz sprzedaży działek pod budownictwo letniskowe opierałem się na zarządzeniu Nr 35 Wojewody Łomżyńskiego oraz wytycznych, które zobowiązały do uzgadniania nabywców działek letniskowych. Nie było żadnych ograniczeń do kupna działek dla nauczycieli, ubiegała się jedna osoba i działkę otrzymała. Ceny działek ustalono ostatecznie pomiędzy właścicielami gruntów a wyznaczonym nabywcą. Nie miałem na to żadnego wpływu. Moja małżonka nabyła działkę letniskową o powierzchni 900 metrów kw. za kwotę 15 tys. zł, a więc po 16,66 zł za metr kwadratowy. Inni na tej kolonii kupowali po 5 zł.

Prawdopodobnie w latach pięćdziesiątych obiecano społeczeństwu wsi Czarnawieś budowę wodociągu, domu kultury, sklepu, ale mnie nie

są znane przyczyny nie dotrzymania zobowiązań, ponieważ wtedy miałem zaledwie 5—10 lat.

Nie jest zgodny również z prawdą zarzut bliskiego pokrewieństwa („więzy krwi”) z niektórymi pracownikami Urzędu Wojewódzkiego. Nie mam żadnych krewnych w UW, w kadrze kierowniczej, ani w szeregowych pracownikach.

W odniesieniu natomiast do domniemanego zarzutu kłusowania ryb wyjaśniam, że od momentu poważnej operacji w 1970 roku ze względów zdrowotnych nie mogę mieć bezpośredniego kontaktu z „wodą otwartą” i tego nie czynię.

Faktycznie sklepu rybnego w Rajgrodzie nie ma, a w związku z tym kupno ryb odbywa się jedynie za odstąpieniem deputatu przez rybaka i właśnie ja z tych możliwości kilkakrotnie korzystałem. Pragnę jednak nadmienić, że trzykrotnie czyniłem próby w Centrali Rybnej w Białymstoku, aby otworzyć taki sklep. Jednak bez rezultatów — odmowa i uzasadnienie: „dwa pomieszczenia z wodą bieżącą” czego w Rajgrodzie jest brak.

Rada Narodowa Miasta i Gminy w Rajgrodzie na sesji w dniu 30.09. 1978 roku zaleciła mi globalne rozwiązanie wystroju miasta, poprawienie jego wyglądu w ramach środków uzyskanych z opłaty klimatycznej (4 zł za 1 dobę od osoby). W roku 1979 zleciłem opracowanie dla plastyków firmy państwowej wraz z wykonaniem. Całą dekorację odebrałem w maju 1981 roku. Sprawa dekoracji była szeroko omawiana na posiedzeniu wspólnym Komisji i posiedzeniu Prezydium Rady Narodowej Miasta i Gminy w m-cu lutym br., przy rozpatrywaniu projektu budżetu miasta i gminy na bieżący rok. Uchwałą RN nr XIII/56/81 z dnia 20.02.1981 r. zatwierdzono budżet miasta i gminy nie wnosząc zmian do planowanych wydatków na pokrycie kosztów związanych z wystrojem miasta. Na wspólnym posiedzeniu Komisji RN MiG, odbytym w dniu 17.04. br. ponownie omawiano tę sprawę, a na posiedzeniu Prezydium RN MiG w dniu 22.04. br. w podjętym postanowieniu Nr 34/29/81 w pkt. 4 zaakceptowano, wręcz zalecono mi dalsze kontynuowanie prac związanych z wystrojem miasta, a po zwieźeniu dekoracji ustawienie jej w miejscu przeznaczenia.

Jeśli Państwo uważacie moje wyjaśnienie za niezbyt wyczerpujące, to zapraszam na rozmowę do siebie. Proszę o wcześniejsze uzgodnienie terminu.

mgr FRANCISZEK CHRZANOWSKI
Naczelnik Miasta i Gminy
Rajgród

Uważaliśmy, że sprawa jest zbyt poważna, aby zamknąć ją rozmową dziennikarzy z naczelnikiem. Nie chodziło nam bowiem o zaspokojenie naszej prywatnej ciekawości, lecz o wyjaśnienie niedomówień, żalów i pretensji obywateli miasta i gminy Rajgród. Dlatego z niecierpliwością czekaliśmy na takie właśnie spotkanie naczelnika ze społeczeństwem. Odbyło się ono 25 września 1981 r. o godz. 10.00 w Miejskim Domu Kultury w Rajgrodzie. Niestety, nie mogliśmy wziąć w nim udziału, albowiem zawiadomienie wysłano nam 24 września o godz. 15.00, o czym świadczy stempel pocztowy. Dziwi więc nas umieszczone w zaproszeniu zdanie: „Proszę o niezawodne przybycie”. Uprzejmie informujemy, że na razie nie ma jeszcze lotniczego połączenia pocztowego i pasażerskiego między Łomżą a Rajgrodem, ale są na przykład nie-żle funkcjonujące telefony. Symptomatyczne, że pismo „do wiadomości, z prośbą o wzięcie udziału” wysłano Dyrektorowi Biura Organizacyjno-Prawnego i Kadr Urzędu Wojewódzkiego odpowiednio wcześniej.

Wydaje się, Panie Naczelniku, że trudną sztukę gminnej dyplomacji doprowadził już Pan do perfekcji. Wypada nam tylko pogratulować, bo tym razem zrobił nas Pan, jak to się mówi, na szaro.

D. A. WRONISZEWSKY

P.S. Ponieważ dzieją się ostatnio różne dziwne rzeczy nie wykluczamy oczywiście, że komuś trzeciemu zależało na tym, aby wysyłkę listu opóźnić lub że jest o zwykły niefortunny zbieg okoliczności. Tak czy owak niedobrze się stało.

polemiki



kontakty

kontaktów

Jestem posiadaczką książki wydanej w 1936 roku w Łomży (Biblioteka Dobrych Książek, Łomża, ul. Stefana Okrzei 13). Na końcu tej książki są napisane dwa wiersze — jeden ołówkiem kłopotliwym, drugi zwykłym. Nic by nie było w tym nadzwyczajnego, gdyby nie data figurująca pod jednym z wierszy — 2.VI.1945 r. Drozdowo. A oto wiersz:

KUMA

Jak okropny i straszny sen
Mija złowrogi czas
Polska wolna, swoboda już
Nad nią sztandarów las

Patrzę w oczy dziewczynie swej
Widzę miłość jej słów
Spijam słodycz z jej pięknych ust
Szczęście przyszło nam znów.

Irka Zajkowska

Bardzo jestem ciekawa, czy osoba, która ten wiersz pisała, jeszcze żyje i czy z zanotowaną datą łączy się coś więcej. A może książka, którą posiadam — „Na zatracenie” Zofii Topińskiej — przydałaby się w jakimś muzeum, czy w niepełnym księgozbiore.

HALINA ZIELIŃSKA
Kolno, ul. Proletariacka 7/30

W wyniku wyłączenia z produkcji masarni Oddziału WSS „Społem” w Łomży z powodu remontu, od 15 września 1981 r., całość dostaw na rynek miasta Łomży przejęły Zakłady Mięsne w Białymstoku. Został ustalony również harmonogram dostaw, które miały się odbywać w godzinach 14.30—16.00. Ustalenie popołudniowych godzin dostaw było zgodne z żądaniem społeczeństwa. Jednakże w miesiącu wrześniu Zakłady Mięsne w Białymstoku nie wywiązały się z ustaleń zawartych w Oddziale „Społem” w Łomży. W praktyce towar dostarczano po godzinie 16.00, a nawet po godzinie 20.00. W związku z tym rynek mięsny miasta Łomży został całkowicie zdezorientowany. Aby taka sytuacja nie powtórzyła się w miesiącu październiku i ewentualnie w dalszych okresach współpracy z Zakładami Mięsnymi w Białymstoku należy:

1. spowodować, aby dostawy mięsa i wędlin przebiegały zgodnie z ustalonym harmonogramem i były dostarczane do miasta Łomży do godziny 16.00,
2. dostarczać mięso i wędliny, przynajmniej do 9 sklepów w Łomży, bezpośrednio z Zakładów, a nie poprzez sklepy rozdzielcze (tzw. dostawy łączone).

WIESŁAW DĘBIŃSKI
Wiceprezes Zarządu d/s Handlu i Usług „Społem” WSS w Łomży

Za pośrednictwem „Kontaktów” pragnę podziękować Zarządowi Wojewódzkiemu Polskiego Komitetu Pomocy Społecznej, Redakcji oraz wszystkim organizacjom młodzieżowym za piękną i pożyteczną akcję pod nazwą „Konto otwartych serc”.

ELŻBIET PIOTROWSKA
Łomża

— To był czwartek, 10 września. Akurat przyjechał syn pułkownika z Warszawy. Naraz wpadł do domu wnuczek-pierwszoklasista wołając: „Babcu, z krzyża płynie krew!”

Aleksandra Rozmysłowicz, mimo że jest praktykującą katoliczką, nie dała wiary. Dzieciak powtarzał uparcie swoje.

— Ponieważ — kościół jest tuż obok, syn z żoną poszli zobaczyć, o co chodzi.

Krzyż jest typowy, misyjny. Stał na prawo od wejścia na dziedziniec rzymsko-katolickiego kościoła — pod wezwaniem Podwyższenia Krzyża Świętego — przed 21 laty. Wówczas to w Olecku odbywały się misje, co znalazło swój zapis na przedniej, dolnej części pamiątkowego znaku męki Chrystusa: „Misje Święte, 12—19 czerwca 1960”.

Gdy dojeżdżałem do Olecka, pytając o drogę do świątyni, jednego zresztą katolickiego kościoła w mieście, nie licząc kapliczki pod wezwaniem Przemienienia Pańskiego, mój pierwszy rozmówca z miejscą zgadł cel podróży: — Trudno powiedzieć, co to było. Ludzie różnie gadają. Ale jest szpital, powinni zbadać, czy w wycieku jest osocze i leukocyty. — Przed dworcem PKS mężczyzna w średnim wieku wskazuje dalszą drogę: — Pan do tego krzyża? Ja nie stąd, ale syn tu mieszka, to mówil. Panie, to była żywa ludzka krew.

O krzyżu stało się głośno 10 września po południu, gdy grupka dzieci (a według relacji niektórych olecczan — również jacyś przypadkowi żołnierze) zauważyła na przedniej, północnej stronie krzyża dziwny, ich zdaniem, wyciek. Genowefa Maksimiuk (starsza kobieta, praktykująca katoliczka), mieszkająca nie opodal kościoła, właśnie wyszła z mieszkania, gdy zawołała ją przez ulicę żona zakrystiana. Ponieważ ma chore nogi, zbytnio się nie kwapiła, ale sąsiadka nalegała, że sprawa ważna. Gdy podeszła do wieżyczki się od zakrystianowej o zdarzeniu.

— Jakies 30 centymetrów od skrzyżowania ramion w dół, na przedniej stronie płynęły cztery strużki. Nie były czerwone. Następnego dnia wzięłam trochę wycieku na ligninę. Był brązowy. Potem zaraz ligninę spaliłam.

Tego dnia był również przy krzyżu emerytowany młynarz z Olecka Wacław Pietrykiewicz od trzech tygodni wykonujący w kościele drobne prace renowacyjno-malarskie.

— Ksiądz dziekan wyjeżdżał na konferencję, prosił, bym odmalował krzyż. Postanowiłem zrobić to w czwartek. Rano przyniosłem podziele, ale znajomi pożyczili drabinę, więc nie mogłem przystąpić do roboty.

A po południu już się sacyło. Brałem tę ciecz na palce. Przypominała wyglądem i dotykiem krew. Łatwo zmywała się wodą.

Krzyż odnawiano już raz tego roku, w czerwcu. Zrobił to Zbigniew Zakrzewski, olecki rzemieślnik, od 7 lat parający się pracami malarzskimi. Odnawiał „na olejny orzech”.

— Mimo że jestem praktykującym katolikiem do cudów mam nastawienie bardzo krytyczne i nie ulegam porywom tłumów. Stąd, gdy powiedziano mi o zjawisku, śmiałem się nawet. Sądziłem bowiem, że krzyż jest z drzewa iglastego. W takich przypadkach smoła po dwóch miesiącach może przebić się przez farbę; zachodzi coś podobnego, jak przy malowaniu osmolowanych rur kanalizacyjnych. Dowiedziałem się jednak, że jest z dębu, a więc takie wyjaśnienie odpada. Można jeszcze szukać wytłumaczenia w tym, że powstał zaciek deszczowy od góry; po nim doszło do fermentacji i wytworzenia barwnika, charakterystycznego dla dębu. Gdy mi doniesiono o saczeniu, robiłem sobie nawet wyrzuty, że użyłem słabej szpachlówki. Tak się wówczas złożyło, iż zamiast z cementu, zrobiłem ją z gipsu i farby olejnej. Pamiętam jeden szczegół: gdy szpachlowałem przód krzyża, trochę poniżej skrzyżowania ramion, miałem wrażenie, że to nie pęknięcie w drewnie, ale jakby szarpana rana, naokoło zakrwawiona. Czułem już wtedy, że będzie ciekło. Miałem nawet o swoim spostrzeżeniu powiedzieć proboszczowi, ale zapomniałem, a potem wyjechałem. Zgodnie z moim odczuciem, już w dwa tygodnie później zaczęło ciec.

Blisko osiemdziesięcioletnia Aleksandra Dundalisowa obserwowała zjawisko dużo wcześniej: — Był Wielki Czwartek albo Wielki Piątek ubiegłego roku, kiedy zauważyłam na przedniej, północnej stronie krzyża kropkę. Roztarłam na palcu. Przypominała krew. Zakomunikowałam o tym poprzedniemu proboszczowi, który przyjął rzecz do wiadomości i na tym się skończyło. Widziałam te kropki wiele razy. Pod koniec maja ubiegłego roku zauważyłam je również od wschodniej strony. Pamiętam bardzo dobrze, że widziałam skroplenie 9 sierpnia. Ciecz miała kolor ciemnobrązowy. Poza księdzem proboszczem nikomu o tym nie mówiłam, żeby nie stać paniki, ale było mi bardzo ciężko sam na sam z owym spostrzeżeniem. Dopiero teraz, gdy stało się o krzyżu głośno, poczułam się tak jakoś dobrze, tak lekko.

Od piątku, 11 września, pod krzyż zaczęły napływać dziesiątki ludzi. Najpierw z Olecka, potem z okolic, wreszcie z odległych zakątków kraju. Podróżę misyjnej pamiątki pokryło się stosami kwiatów, zapłonęły liczne świece i lampki, zawisły na krzyżowym słupie różańce i religijne obrazki. — Tego dnia rano — relacjonuje zakrystian — popłynęło od wschodniej strony, z boku, ciekło aż do ziemi. — Płynęło strużkami — precyzuje Maksimiukowa. Ludzie podstawiali białe chusteczki i foliowe torebki. — Genowefa

Maksimiuk utrzymuje, że płyn był brunatny, inni — że zostawiał na białym czerwony ślad. Ktoś zaniósł próbkę do miejscowego szpitala.

Laborantki zagadnięte o badania, po chwili wahania wymieniają porozumiewawcze uśmiechy. Nie wiem, co mogą znaczyć, ale i nie dociekam, by nie zrazić rozmówczyń, które odsyłają mnie do swojej bezpośredniej przełożonej. Kierowniczką laboratorium, Marią Dźwilewską, przyjmuje mnie z żartobliwie samooskarżycielskim wyrzutem: — Po co miesza się do tego. Już było tu Polskie Radio; teraz pan. — Z ciekawości zupełnie prywatnie zbadała płyn pod mikroskopem zaraz po dostarczeniu go w piątek. — Był brunatny, jakby lekko czerwony. Nie znalazłam w nim składników formologicznych krwi: erytrocytów i leukocytów. Robiłam próbę w preparacie świeżym i barwionym oraz próbę benzydynamy na krew utajoną. Wynik był ujemny, to znaczy nie wskazywał na obecność krwi.

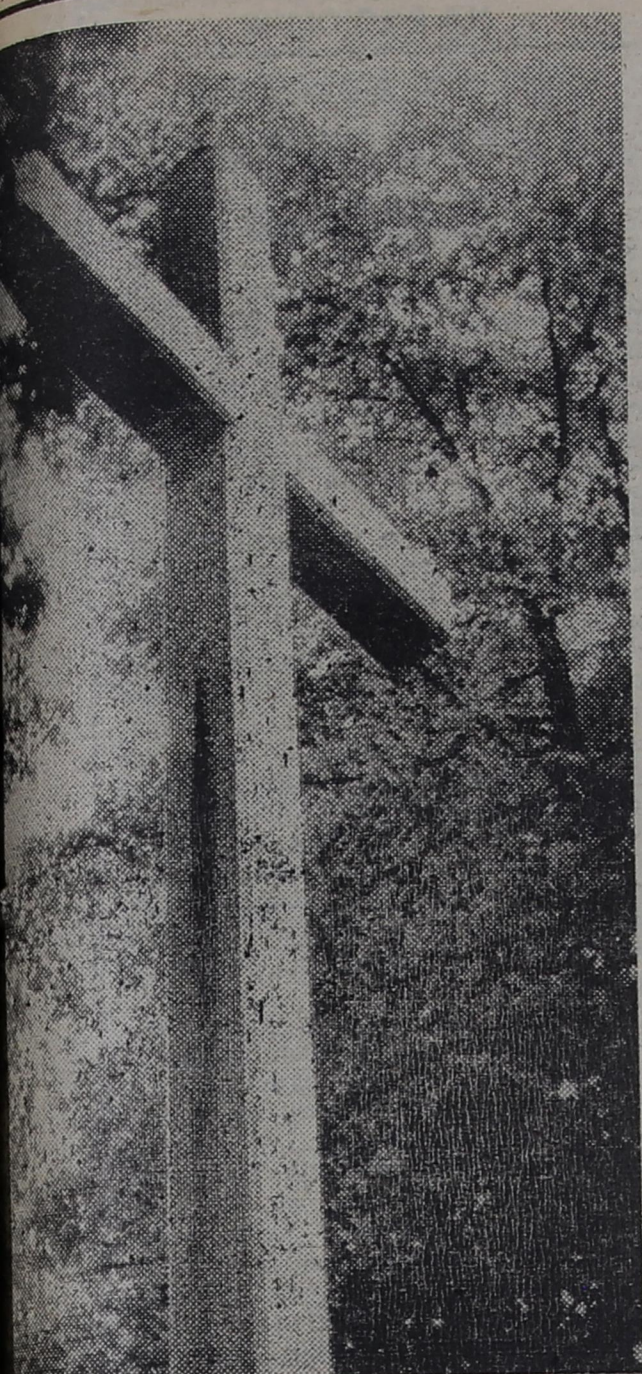
Drugą analizę robiono za tydzień, w sobotę 19 września. Prosił o to obecny proboszcz parafii oleckiej, dziekan Edmund Lagód. Tym razem próbę pynu, po świeżym wycieku, pobrała laborantka ZOZ-u. W rezultacie badania Maria Dźwilewska znalazła w cieczy tylko liczne drobnooustroje gram ujemne. Na prośbę księdza Lagóda wysłano płyn do laboratorium medycyny sądowej Akademii Medycznej w Białymstoku. Miasto jednak wynikiem badań nie wierzy, chociaż Dźwilewskiej nikt nie dopytuje się o rezultat analizy, nikt nie zaczepia w tej sprawie na ulicy, nikt nie molestuje przez telefony. Mówi się, że 11 września próbki brała milicja, że badania laboratoryjne w ZOZ-ie „coś” wykazały, tylko się tego nie ujawnia.

Pytałem też o udział w badaniach miejscową Stację Sanitarno-Epidemiologiczną. — My z tą sprawą nie mamy nic wspólnego — usłyszałem z ust epidemiologów.

Poza moim przypadkowym przewodnikiem spod dworca autobusowego, wszyscy pozostali wstrzymywali się od oceny i interpretacji, które mogłyby uznać za własne. To stanowisko cechowało zarówno młodych, jak i starych, prostych i wykształconych, gorliwych katolików, ale i ateistów. Część indagowanych, niechętna wszelkim wywiadam, zaczęła jednak mówić o przypadku, gdy zastrzegalem się, że jestem daleki od prób wyjaśniania i wartościowania zdarzenia.

W sobotę, 12 września, wyciek trwał nadal, od strony północnej i wschodniej jednocześnie. W niedzielę Olecko przeżywało swój niezwykły czas, na trzynasty września przeniesiono bowiem doroczny lokalny odpust ku czci Podniesienia Krzyża Świętego. Pod tym wezwaniem kościół istnieje od 27 sierpnia 1862 roku.





ksiądz Józef Sikora. — Trzeba cierpliwie czekać, co zdarzy się dalej — zgodnie mówią ksiądz Łagód i młody wikariusz, Zdzisław Grabowski, chociaż niektórzy z adorujących krzyż chcieliby ogłoszenia cudu od zaraz. Duszpasterze przypominają mi o nadnaturalnych zdarzeniach w Lourdes, trwających przez kilka miesięcy, zanim Kościół uznał je za Boską ingerencję w naturalny porządek rzeczy. Postępowanie Kościoła w przypadkach takich, jak olecki, ciągnie się czasem długie dziesiątki lat. Ostateczne orzeczenie należy do watykańskiej Kongregacji do Spraw Kultu Bożego. Decyzje zapadają wcześniej w komisjach na różnych szczeblach hierarchii kościelnej.

W mieście utrzymuje się też przekonanie o jeszcze jednym nastawieniu: badawczo-inwigilującym. Wiele osób powtarza, iż milicja brała próbki płynu i przesiadała je do Komendy Głównej MO; chodzą pogłoski o cywilnym nadzorze okolic krzyża. Z rozmowy z oleckim komendantem i jego zastępcą dowiedziałem się, że funkcjonariuszy sprawa ta w ogóle nie obchodzi.

Jakkolwiek w rozmowie ze mną ludzie wystrzegali się własnych ocen i interpretacji; chętnie powtarzają, jak w Olecku tłumaczy się przyczynę wycieku. Dla jednych jest to niewątpliwie cud, dla innych — sączenie żywicy, chociaż z wielu ust słyszę, że to niemożliwe w przypadku dębu. — Na dodatek — uzupełnia Wacław Pietrykiewicz, który ustawiał krzyż na obecnym miejscu — misyjne drzewo nie czerpie żadnych soków z ziemi, gdyż nie jest wkorpane, a jedynie spięte w kłamy, osadzone na betonowej platformie. Pod nim jest tylko duży dół. Mówi się w Olecku — zdaniem moich trzech informatorów, zaliczanych do miejscowych notabli, a przy tym: o duchu wolnomyślicielskim, którzy zwierzili mi się z tych wiadomości prywatnie — że sprawa krzyża, to sztuczka proboszcza, aby zebrać pieniądze na budowę nowego kościoła, której rozpoczęcie możliwe jest od niedawna.

— Nie bierzemy udziału w zbiorze pieniędzy spowodowanej okolicznościami krzyża ani nie sugerujemy takich kwest. Są puszki ofiarne w kościele, jeśli ktoś ma życzenie, od

lat może tam włożyć datek — mówi proboszcz. Ksiądz Józef Sikora snuje własne spekulacje: — Dąb, ofiarowany przez Domańskiego ze wsi Moźnie, był krzywy. Trzeba było ciąć go ukośnie. Dlatego jedna strona kłosa jest blisko sęków, druga zaś — oddalona. Od góry mógł powstać zaciek, gdyż blaszana osłona szczytu krzyża nie jest szczelna, a on sam liczy dużo lat. Woda, zabarwiona rdzą, dostawszy się do środka, nie mogła przebić się równomiernie na zewnątrz ze względu na sęki, dlatego wysadziła drewno tam, gdzie ich było mniej albo wcale. Tak można by próbować zrozumieć wydarzenie w kategoriach naturalnych. Mogą jednak zająć nowe okoliczności, wobec których myślenie na tej płaszczyźnie będzie niewystarczające.

Gdy 25 września pojawiłem się jeszcze raz na dziedzińcu kościelnym, odbywały się tam modły. W czasie mojego dwudniowego pobytu w mieście przy krzyżu spotykałem 10—12 osób, zmieniających się co kilkanaście minut. Podjeżdżały pojedyncze samochody z rejestracją Suwalskiego i ościennych województw. Szczyt zainteresowania wyraźnie jednak minął, chociaż trwa oczekiwanie mieszkańców na dalszy rozwój wypadków. Ci, których zastałem w piątek przy kościele, uczestniczyli w nabożeństwie różańcowym. Kilka kobiet obchodziło krzyż na kolanach. Inni, przychodzący tu na krótką modlitwę, całowali na jej zakończenie symbol misji. Nie ustawała sprzedaż zdjęć po dotychczasowej cenie.

Starszy jegomość przypominał, jak to w roku 1938 wraz z czterema kolegami obserwował niezwykłą gwiazdę na niebie, zmieniającą się kolejno w szablę, bicz i miotłę. Ktoś opowiedział o gdańszczance, która przybyła do Olecka, bowiem ujrzała w zdarzeniu spełnienie czytanej przed laty przepowiedni, iż wielka światowa zawierucha poprzedzi krew z suchego drzewa.

Dzieci jeździły po placu na rowerach. Starsza niewiasta leżała krzyżem na ziemi głośno odmawiając „Zdrowas Maryjo”. Palily się świece i znicze. Po krzyżu widać było powoli czerwono-brunatny wyciek.

Fot. ANDRZEJ MOCZYDŁOWSKI



W odpustową niedzielę zjechało do Olecka — według szacunku tubylców — około 30 tysięcy ludzi z całego kraju. Nie było gdzie pomieścić samochodów. Wszystkie ulice wokół świątyni zablokowały pojazdy przybyszów. Nie pomogły znaki zakazu postoju na przykościelnych jezdniach. Nikt nie zwracał na nie uwagi. Zgromadzeni nadal składali pod krzyżem kwiaty, palili świece, dotykali mokrych powierzchni krzyżowego słupa chusteczkami i obrazkami. Wcześniej, w czasie mszy, słuchali — przeznaczoną na ten dzień — Ewangelii św. Jana (rozdz. III, 13—17): „Nikt nie wstąpił do nieba tylko ten, kto z nieba zstąpił, Syn Człowieczy (który jest w niebie). A jak Mojżesz podwyższył węża na pustyni, tak musi być wywyższony Syn Człowieczy, aby każdy, kto w niego wierzy, nie zginął, lecz miał żywot wieczny. Bo Bóg tak umiłował świat, że Syna swego jednorodzonego wydał, aby każdy, kto weń wierzy, nie zginął, ale miał żywot wieczny”.

— Ale tego dnia wycieku nie było — przypomina zakrystian. W poniedziałek i wtorek lał ulewny deszcz. Zmył ślady na krzyżu, tylko od wschodniego boku została trwała, podłużna czerwono-brunatna plama. W środę ciecz się nie pojawiła. Wypłynęła znów w czwartek, od wschodniej strony. Od tego czasu zaczęła pojawiać się ze wszystkich boków. W następnym tygodniu, 23 września, około godziny 12.00, wypłynęła czysta woda. Za nią duża kropla, zostawiająca różową smugę.

Przez cały ten czas miejsce nawiedzają ciekawo. Adoracji zaczyna towarzyszyć pamiątkarstwo. Ludziom nie wystarcza już dotykanie drewna lub ocieranie z niego płynu i zbieranie go w torebki. Niektórzy wdrapują się na ramiona wspólników, przedsięwzięcia i chusteczkami, osadzonymi na końcach parasolek, starają się dotknąć miejsca, skąd wycieka płyn. Parę metrów dalej trwa sprzedaż fotografii dokumentujących niecodzienny wypadek. Asortyment obejmuje cztery ujęcia sylwetki krzyża. Każde zdjęcie kosztuje 20 złotych. Chętnych codziennie są setki. Emerytowany fotograf z trudem nadąża obsługiwać klientów.

Gdy odwiedzam to miejsce po raz pierwszy (24 września), obie postawy zgodnie pojawiają się obok siebie. Jest jeszcze inna — obojętna. Zalecił ją zachować miejscowym księżom wysłannik diecezji warmińskiej, której podlega parafia: — Jeśli to ludzkie i naturalne, umrze zwyczajna śmiercią, jeśli boskie, żadna siła nie przemoże ujawniania się cudu — charakteryzuje tę postawę rezydent przy kaplicze Przemienienia Pańskiego.

spiećcia



9
KONTAKTY
18.X.1981

Prezydent Łomży publicznie przysięgał, że jeżeli dostanie 100 kilogramów gwoździ 3,5 lub 4-calowych następnego dnia kino „Milenium” ogłosi gwóźdź programu: otwarcie swych podwoi po wielowym remoncie. Kogo chce nimi przygwoździć — nie zdradził.

Wyjątkowo wybredny złodziej-rozbójnik grasuje po wioskach gminy Wysokie Mazowieckie. Henrykowi Grabowskiemu z Broku porwał dwie sztuki owiec, ściągnął z nich skóry, a mięso pozostawił. Natomiast w Rębiszach Studziankach ukatrupił krowę — zabrał mięso, a pozostawił skórę. Okoliczni rolnicy, przyglądając się akcji śledczej żyją w niepewności — co zastaną w oborach: skórę czy mięswo?

Na drugie posiedzenie VIII Sesji WRN w Łomży przybyło 64 radnych (wojewódzkie ciało ustawodawcze liczy ich 110). Chociaż nikt z sali nie wychodził, na projekty uchwał głosowało kolejno: 53 radnych, później 59 radnych, 58 i 56. Ten galimatias leżbowy interpretuje się różnie: do komputerów palcowych zabrakło baterii; głosujący podnosili albo głowy, albo obie ręce; radni (tym razem, by zapewnić quorum nie udostępniono w bufecie bezkartkowej kielbasy) — zaczęli pożerać się wzrokiem.

Dwa miliony złotych ofiarowali łomżyńscy rzemieślnicy na budowę żłobka w Łomży. Irba Rzemieślnicza w Białymstoku — która podlegała — takiego datku nie zatwierdziła, przyznając zaledwie 50 tysięcy. Prezydent z faktem się pogodził i wysunął wniosek, że w tej sytuacji żłobka zrobić się nie da. Przysłowie głosi: wprawdzie, że darowaliśmy koniowi, węży zaglądać nie wypada, ale kiedy stwor ten polyka społeczną inicjatywę, to dentysta — i to w do-brych ubrojeny — aż się prosi.

O wielkim szczęściu mogą mówić dzieci z klasy zerowej nr 4 w Łomży — u progu swej edukacji dotarli do źródła wiedzy o życiu. Każdego prawie dnia woda z tego źródła podmywa obficie drzewa, przecieka przez sufity piwnicznej izby lekcyjnej i arasz dywan, na którym siedzą.

Nasza akcja „Nie dajmy się biedzie” rodzi nieoczekiwane eksperymenty. Realizowana przez teściową jednego z pracowników LPB w Łomży w postaci codziennych kanapek ze schabowym długo wywoływała ogólną zazdrość i ciekawość. Szybka kontrakcja kolegów „nie dajmy się zwodzić” przyniosła zaskakujące odkrycie — między pajdami chleba chrupiące placki ziemniaczane. Akcje teściowej spadły!

Dolarowcom z okolicy polecamy starszą ekspedientkę Pewexu w Wysokim Mazowieckim, która — inaczej niż jej młodsza nieopierzona jeszcze koleżanka — sprzedaje towary z prywatną marżą. Doświadczenie jest w cenie.

Prezesi geesów w Grajewie, Nurze, Wąsosz i Radziłowie chrapią już twardym, zimowym snem, z którego nie zbudziła ich nawet dostawa około dziesięciu ton wysłodków, która to wieść wzbudziła zachwyt u okolicznych krow. Tylko czy one same są w stanie załatwić zimny prysznic dla prezesów?

Odnotaliśmy już społeczeński rekord Oddziału w Łomży w postaci 5 milionów złotych strat. Dyrekcja zrewanżowała się — powiększyła je do 8 milionów. Zapewniamy: na nie tę podchody — Czytelnicy! tak nie dadzą się odeprzeć od lady!



ODPRYSKI CZASU

Ostatnimi czasy słowo „brak” stało się jednym z trwałych składników społecznego życia: czymś, o czym nieustannie trzeba pamiętać, co nie daje się zapomnieć.

O kolejnych brakach i niedoborach informuje nas radio i telewizja — chociażby o spadku wydobywania węgla, a jeszcze dokładniej, bliżej i rzeczywistniej — samo życie: półki sklepowe i czytelne napisy „brak...”. Są one jak najbardziej sensowne — zapobiegają niepotrzebnemu wymianie zdań, która nie ma szansy polepszenia nastroju rozmówców.

Nie raz trzeba się zastanowić, czy zapytać o to i tamto, bo po pierwsze — można narazić się na śmieszność i drwinę, a po drugie — ekspedientkę można zagonić w ślepy zaułek melancholii. Spotyka się je nierzadko jak stoją smętnie za polyskującą czystością i pustką lad, popatrują na przemian: na drzwi i na zegarek, i — co widać na pierwszy rzut oka — wyraźnie się męczą.

Jest to przeciwieństwo — smutne, druga strona naszej rzeczywistości. Pierwszą jest, rzecz oczywista, kolejka — długa i poskręcana. Ekspedientki mając ją przed nosem uwiązują się, denerwują, dzielą i wydzielają nawet z dumą, jeśli towarzyszy temu poczucie społecznej przydatności.

„Brakuje”, „nie ma”, „co też pani!”, przypisywane pogardliwym uśmiechem: z pewnością częstotliwość używania tych zwrotów odbija się ujemnie na życiu wewnętrznym sprzedawców. A niech tam. Za to w

to, by swego męża oglądać w takich pantalonach!

— Między nami mówiąc, to już nie mogę sobie pozwolić na rozbiieranie się w świetle, ani w dzień! Co z tego, że on twierdzi: masz piękne ramiona i pierś strzelistą, kiedy moja ostatnia reprezentacyjna halka się strzępi, nie mówiąc o szorstkości biustonosza!

— Ona naprawdę się zmieniła! Nie wiem co się stało! Niby tak samo, a jakoś inaczej.

Nietrudno się domyślić o czym mowa i z czym związane są powyższe zdania, jaki brak okrutny mam na uwadze.

Chodzi o tę iskrę codzienności, o

jedwabie czy barchany?



RYS. ANTONIEGO KOWALSKIEGO

sensie materialnym mają przynajmniej większe możliwości zorganizowania czegoś dla podniebienia i dla ciała. Mają przyjaciół i przyjaciółki w tej samej branży, zresztą i prestiż społeczny damy za ladą wzrósł niepomniernie, także władza nad masami potrzebujących. Może więc i nie warto tak bardzo współczuć? Ach, gdyby tak miało się jakąś przyjaciółkę ze sklepu mięsnego, meblowego, obuwniczego, czy chociażby galanterii — to by się i widziało i wiedziało. Ale trudno! Nie ma co wzdychać, trzeba raczej zastanowić się w wymiarze osobistym, jednostkowym — jak zapobiegać skutkom choroby „BRAK”, skoro nie można wyleczyć jej przyczyn.

W ramach zapobiegawczych rozmyślań nad zapobieganiem, zajęłam się właśnie drobną galanterią.

Czasami nie zdajemy sobie sprawy z tego, jak drobiazgi mogą wpływać na najistotniejsze dziedziny naszego życia. Ale wystarczy trochę wyobraźni, obserwacji, żeby z przeobrażeniem uświadomić sobie niepomierne skutki aktualnych braków.

Galanterię drobną wybrałam nie bez powodu; jednego i tego samego dnia słysząc trzy opinie na ten sam temat od moich znajomych. Oto dosłowna treść fragmentów monologów:

— Przecież nie mogę pozwolić na

ten podskórny życiodajny nurt każdego wydarzenia i sprawy, treść związków małżeńskich i narzeczeńskich.

Brak żywności bezpośrednio uderza w żołądek, ale różnymi przemysłowymi sposobami jest to równoważone przez zapobiegliwe kobiety. Natomiast brak jedwabów, lekkich batystów, świetlistych hałeczek i koszulek nocnych, koronek niby piana morska, z której wylania się powabna noga, uderza w podwaliny związków najżywniejszych — między kobietą i mężczyzną.

Ktoś może polemizować — najpiękniejsza jest nagość! Niestety! Komuś, kto by tak powiedział! Trudno bić brawa, a łatwo wykazać nieznajomość przedmiotu. Piękna noga wydaje się kształtniejsza, kiedy ją trzeba wyłuskać z koronki. Piękna pierś — bardziej pociągająca, gdy jedynie jej część jest odsłonięta pobudzając — co do reszty — wyobraźnię i wyzwalając aktywność.

Okazuje się, że to nie nagość, a wymyślność i przemysłowość stroju jest czynnikiem podnoszącym trans życia i jego koloryt. Na plażach nudystów jest przecież wręcz nudno. Wszystko wiadome i wszystko „widomo”, niczego nie trzeba się domyślać. Na plażach nudystów nie ma miejsca na wyobraźnię, zresztą człowiek musi być rzeczywiście har-

monią doskonałą, by jego nagość była piękna w kategoriach estetyki. A i tu, jak we wszystkich dziedzinach, jest ogromny rozrzut ocen. W tym zaś co średnio i przeciętnie natychmiast kluje w oczy przyszc na posładku, lekkie nawet skrzywienie kręgosłupa, czy jakaś inna dziwność. Kiedy natomiast to i owo jest osłonięte, to właśnie na krawędzi spodenek kąpielowych, na przemysłowych tasiemkach oplatających ramiona, eksponujących biodra — właśnie tam zatrzymuje się oko.

Ci, którzy zajmują się modą, dobrze wiedzą jak istotny to czynnik, przyciągający do siebie ludzi i zapalający ich. Jaka to sztuka — umieć odsłonić akurat tyle, ile trzeba. Ubiór poprzez wieki przeżył ewolucję niesłychaną: od pierwszego momentu — kiedy praczolwiek zasłonił się przed drugim, doświadczając po raz pierwszy uczucia wstydu, do takiego zasłaniania, które jest uroklive, rozżarzające wyobraźnię do białości.

Co więc robić teraz, kiedy i tu wystąpił w naszym zaopatrzeniu taki BRAK? Czym zastąpić pantalonny męski, w których wygląda śmiesznie i zniechęcająco, zamiast powabnie; a czym zastąpić koronki żony, bez których noga nie jest nogą Afrodyty wylaniającej się z morskiej piany?

Czytelnicy pamiętają zapewne popularną swego czasu piosenkę Janusza Laskowskiego, której fragment brzmi, ni mniej ni więcej, tak:

Gdy widzę te welny, barchany,
Odwracam się twarzą do ściany
I wtedy śni mi się ten
O jedwabnych majteczkach sen.

NA PIĘCIOLINII

przeciwko polykaczom ognia

Kolega z białostockiej „Gazety Współczesnej” przekazał mi list od mieszkanki Łomży, Józefa R. Gdyby nie nerwowe czasy, obfitujące w spiecia polityczne, można by go nazwać dramatycznym, ale dzisiaj lepiej nie nadużywać tego określenia. Otóż Józef R. pisze: „Czytam w „GW” sporo o różnych koncertach rozrywkowych i jazzowych, o festiwalach jak np. „Jesień z blusem”, o klubach, w których można posłuchać zespołów i muzyki z płyt, ale to wszystko dzieje się w Białymstoku, Nam, młodzieży łomżyńskiej, ból ścisła gardło, bo u nas poza dyskoteką i estradowymi chałturami nic się nie dzieje. Dlaczego tam można, a u nas nie. Tyle się mówiło o ambicjach nowego miasta wojewódzkiego, jest nawet orkiestra kameralna, dlaczego nikt nie myśli o młodzieży stęsknionej ambitnej twórczości?”

List jest, oczywiście, o wiele dłuższy, opatrzonego przykładowi, poparty argumentami, ale w zasadzie w tym krótkim akapicie mieści się wszystko. I — co najgorsze — jest to prawda, od początku do końca. W takiej sytuacji zresztą znaleźli się nie tylko mieszkańcy Łomży, bo przecież to samo można powiedzieć o Suwałkach czy dawnych miastach powiatowych. Owego głodu nie potrafiły zapłacić wielkie, masowe imprezy-giganty, z radością organizowane w minionym dziesięcioleciu, imprezy pochłaniające olbrzymie fundusze, których — to normalne — nie starczało już później na codzienną działalność. W megalomańskim pędzie zapomniano o potrzebie bycia w sytuacjach kameralnych, o różnych gustach, różnorodnych formach prezentowania twórczości artystycznej. Strychulec — inaczej: sztańca. — To była norma, do której każdy, chciał czy też nie, musiał się dopasować. Z tego powodu płacz dzisiaj muzyki jazzowej, którzy gwałtownie stracili widownię; z tego powodu upadła idea wszelkiego rodzaju klubów dobrej płyty czy kawiarni muzycznych. Od niedawna dopiero Mieczysław Fogg przywrócił urok powojennej kawiarenki i raz w tygodniu śpiewa dla swojej publiczności. Nie jest to może najlepszy przykład, ale jeśli w czasie tych kameralnych koncertów brakuje wolnych miejsc — o czymś świadczy.

Sztanca imprez-gigantów i dyskotek (alternatywa) działa nadal i trudno będzie w krótkim czasie zapomnieć o niej. Zależy to przede wszystkim od pomysłów ludzi i życzliwości władz resortowych. No i ogromna rola spoczywa w rękach sprawnych organizatorów. Pisałem przed kilkoma miesiącami, jak to beztraska działaczy ZSMP w Łomży nie pozwoliła chętnym na wysłuchanie koncertów białostockiej grupy jazzowej „Antykwarium”, ponieważ wywieszono zaledwie plakat, zaś bilety porozdzielano — po najmniejszej linii oporu — między zakłady pracy. Niestety, większość powołanych do podobnych działań osób siedzi teraz mocno trzymając stołki i nie w głowie im odpowiedzieć na błagalny apel Józefa R.

Niechętni pomysłom są nie tylko w Łomży. Weźmy taki przykład: człowiek dysponujący bogatą płytoteką proponuje jakimś klubowi spotkanie z muzyką mechaniczną, ilustrowane i opatrzone komentarzem. Argumentem przemawiającym na niekorzyść pomysłodawcy jest fakt, iż ludzie w tej chwili mają tyle płyt w domach, że gdzie im się będzie chciało szwendać po klubach. Tymczasem na ryzykancie spotkanie przychodzi ponad setka osób. A gdyby nawet przyszło dwadzieścia? Józef R. zazdrości Białymstokowi „Jesieni z blusem”. A jakież to kłopot po zakończeniu tego dwudniowego festiwalu (21–22 listopada), zaprosić i wykonawców (choćby tylko niektórych) na koncerty w Łomży? Taka mała filia „Jesieni” z pewnością zyskać by mogła akceptację mieszkańców. Zwłaszcza że w takim przypadku koszty są minimalne. Ten i inne pomysły polecam organizatorom łomżyńskiej kultury, o ile — oczywiście — nie wolą oni koncertów Waldemara Kononia i trupy iluzjonistów sprzężonych z polykaczami ognia.

IRENA BOROWIK

JAN JANUSZEK



STAWISKI, 21 SIERPNIA 1981.

Po wyszczerbionych schodkach i brudnym korytarzem wchodzi do siedziby Biblioteki Publicznej, sta i Gminy. Z dyrektor Mirosława Ptak oglądam pomieszczenia tego przybytku kultury. Jest ich cztery o łącznej powierzchni 78 metrów kwadratowych. To daleko do ogólnokrajowej normy — 120. W jednym z pomieszczeń natrafiam na około trzy tysiące książek, przywiezionych jeszcze w 1980 roku z Jurca, gdzie zlikwidowano filię biblioteki miejsko-gminnej. Podejmuję decyzję o włączeniu przydatnych w Stawiskach książek do zbiorów miejscowej Biblioteki Publicznej, a także o rozdysponowaniu reszty tych książek między kilka innych bibliotek miejsko-gminnych i gminnych w województwie.

W oddziale dla dzieci, umieszczonym na pierwszym piętrze, stwierdzam, że podłoga grozi zapadnięciem; okazuje się, że sprawa ta jest znana od wielu miesięcy referentowi do spraw oświaty i kultury Urzędu Miasta i Gminy, Zakładowi Gospodarki Komunalnej i Mieszkaniowej oraz kilku osobom władnym zapobiec potencjalnemu nieszczęściu, ale — jak dotąd — wszyscy wtajemniczeni zadowalają się swoją wiedzą o stanie rzeczy. Jak długo jeszcze?

Interesuję się warunkami lokalowymi filii bibliotecznych w Romanach i Porytem. Mirosława Ptak ocenia je jako żońskie. Rozpoczynam rozmowę o pracy kulturalno-oświatowej biblioteki i o rozwijaniu czytelnictwa. Dyrektorka stwierdza z troską, że chętnych do współdziałania w organizowaniu imprez kulturalno-oświatowych ciągle ubywa i — tak naprawdę można liczyć tylko na szkołę i nauczycieli. Punktów bibliotecznych na terenie gminy jest 23, a te w Skrodzie Małej, Budach Poryckich, Obrytkach i Michnach należą do najlepszych.

— A i do czytania ludzie przestają się garnać. Przytłoczeni sprawami dnia powszedniego, nerwowi i nieufni, coraz rzadziej sięgają po książkę — kończy z rozżaleniem Mirosława Ptak.

Przed odjazdem do Łomży spotykam się z sekretarzem Urzędu Miasta i Gminy, Jerzym Bielawskim. Mówię mu o tym, że biblioteka w Stawiskach nie ma opał, a bibliotekarkom nie wypłacono jeszcze ekwiwalentu pieniężnego za przysługującą im odzież ochronną; że trzeba wreszcie pozwolić pani Ptak kupić telewizor z myślą o umieszczeniu go w czytelni. Informuję go także o tym, że dwa lata temu, na mocy polecenia czy przyzwolenia kompetentnej osoby, z czytelni zabrano piec akumulacyjny i umieszczono go w pomieszczeniu biurowym ważnej urzędniczej Zakładu Gospodarki Komunalnej i Mieszkaniowej. W efekcie każdy naiwny, który zimą chciał skorzystać ze zbiorów czytelni, szybko ją opuszczał; temperatura nie przekraczała tu kilku stopni. Sekretarz obiecuje wszystkie wnioski i prośby potraktować życzliwie. Zegnam się z nim w przeświadczeniu, że słowa dotrzyma.

PIĄTNICA, 24 SIERPNIA 1981. Regina Potocka, kierowniczka Biblioteki Publicznej gminy Piątnica, zajmuje, razem ze swoimi książkami, dwa pomieszczenia o łącznej powierzchni 34,5 metra kwadratowego. Jedno z nich nie było ogrzewane, w drugim zaś zainstalowano piec akumulacyjny, pozwalający utrzymać zaledwie kilka stopni ciepłoty. Pani Regina jest tak dalece przeświadczona o tym, że władza dała, co mogła, iż nawet nie śmie myśleć o większym i cieplejszym kącie. Ciężko wdychając, wspomina ten złoty wiek, kiedy biblioteka była w daleko lepszym lokalu. Ale kilka lat temu przeznaczono go dla urzędników pożarnictwa. Racje książki zostały pokonane racjami urzędu; poniosł również klęskę obywatel czytelni.

W dalszej rozmowie z Regną Potocką dowiaduję się, że społeczny inspektor pracy zawiesił działalność filii w Jeziorku jeszcze w roku 1980, ale nikt się tym nie przejął, że w Dobrzyjałowie, w ostatnim czasie przeniesiono filię z dwóch pomieszczeń do jednego i że w Drozdowie biblioteka mieści się w jednej, bardzo małej i piekielnie zimnej, dziupli. Gdy tego słucham, nachodzi mnie smutna myśl, że w gminie Piątnica kultura jest w odwrocie.

W gęstym deszczu idę, razem z towarzyszącą mi pracownicą Wojewódzkiej Biblioteki Publicznej w Łomży Jadwigą Nowakowską, do

Z NOTATNIKA INSPEKCYJNEGO



Jesienny rekonesans

siedziby Urzędu Gminy, by spotkać się z naczelnikiem. Jest gotowy do pilnego wyjazdu, ale podejmuje rozmowę, o którą proszę. Rozpaczam od bardzo złej sytuacji lokalowej bibliotek publicznych w gminie. Mgr inż. Tadeusz Gałązka daje mi do zrozumienia, że nic nie stoi na przeszkodzie, by bibliotekarki znalazły większe i wygodniejsze lokale, a on zadba o pokrycie kosztów czynszu. Już mam go łapać za szyję, ścisnąć i serdecznie podziękować, ale z sekundy na sekundę nabieram przeświadczenia, że jestem wpuszczany w pokrzywy. Przechodzę zatem do kwalifikacji kadry. Zwracam uwagę na to, że w gminie Piątnica na cztery zatrudnione bibliotekarki tylko jedna ukończyła szkołę średnią, jedna szkołę zasadniczą, a dwie legitymują się wykształceniem podstawowym.

— A co, dawać wymówienia? — pyta naczelnik. Tłumaczę, że gdy nie dopilnowano, by się uczyły w wieku młodszym, teraz trzeba im pozwolić spokojnie pracować, a w trakcie ich przechodzenia na emeryturę lub renty — zatrudniać w bibliotekach osoby posiadające wykształcenie wyższe lub średnie. Mój rozmówca spogląda na zegarek, a ja jednym tchem podejmuję temat zaopatrzenia bibliotek w opał, ale nie otrzymuję żadnej jednoznacznej odpowiedzi.

Wracam do Łomży ze spuszczoną głową.

ZAWADY, 25 SIERPNIA 1981. Kilkunastoletni chłopiec informuje mnie grzecznie, że biblioteka publiczna mieści się w małym i starym domku, nieopodal nowego baru. Po chwili witam się z jej kierowniczką, Krystyną Olkiewicz-Grelą. W zawodzie bibliotekarskim pracuje od osiemnastu lat. W niezbyt odległej młodości ukończyła szkołę zasadniczą, a później już dalszej nauki nie podejmowała. Tak się jakoś złożyło.

Oglądam uważnie dwa pomieszczenia, zajmowane przez bibliotekę. Oba mają po 13,5 metra kwadratowego powierzchni użytkowej. Jedno z nich to wypożyczalnia książek, drugie udaje czytelnię. „Szczęśliwi ludzie, którzy wierzą, że na tej mikroskopijnej powierzchni mają i wypożyczalnię, i czytelnię” — myślę, opanowany chwilowo przez melancholię, ale milczę. Po co ostentacyjnie król ma się dowiedzieć, że jest nagi, skoro nie ma żadnej nadziei, że niedługo otrzyma nowe (też z pewnością kuse) szaty.

Dowiaduję się o lekcejach bibliotecznych, przeznaczonych dla uczniów miejscowej szkoły, o spotkaniach autorskich (ostatnie z Jastrzębkiem-Kozowskim), spotkaniach z kombatantami, zgaduj-zgadulach, konkursach czytelniczych, dyskusjach na temat przeczytanych książek i obejrzanych spektakli telewizyjnych. Gdy pytam o sojuszników w tych działaniach, słyszę nazwiska nauczycielek: Zmiejewskiej i Pućkowskiej. Brawo nauczycielska żelazna gwardia kultury!

Już przy udziale, przybyłej z Zambrowa, Krystyny Modzelewskiej, kierowniczki tamtejszego oddziału Biblioteki Wojewódzkiej, analizuję pracę filii bibliotecznej w Chlebiotkach i punktów bibliotecznych na terenie gminy. Jest ich 18; najlepiej pracują punkty w Ciborach Witkach, Konopkach Klimkach, Toczyłowie Łasi, Targoniach Krytułach i Zawadach-Borysówce. Najlepszym punktowym jest pan Stanisław Mezeński ze wsi Cibor.

Witki, miłośnik starych książek i zagorzały czytelnik.

Przed odjazdem z Zawad odbywam rozmowę ze Stanisławem Skorulskim, sekretarzem Urzędu Gminy; w pewnej chwili włącza się do niej naczelnik, Ryszard Godlewski. Dziękuję im za to, że biblioteka w Zawadach właśnie dzisiaj otrzymuje opał, że czuwają nad gospodarnym wydatkowaniem środków budżetowych, którymś dysponuje, i wreszcie za to, że bibliotekarki otrzymały już odzież ochronną, ręczniki, mydło i herbatę. W końcu zadaje pytanie: kiedy biblioteka znajdzie się w ludzkim lokalu? Okazuje się, że już w przyszłym roku, w nowym budynku Urzędu Gminy i Gminnego Ośrodka Kultury. Otrzyma tam dwa pomieszczenia o powierzchni ponad 70 metrów kwadratowych. Po raz drugi tego dnia zacieram ręce.

Opuszczam Zawady pełen dobrych myśli.

TRZCIANNE, 27 SIERPNIA 1981. Dwóch żywo rozprawiających o czymś mężczyźni, pytam o drogę do biblioteki publicznej. Biorę kurs we wskazanym kierunku, ale się upewniam co do jego trafności u napotkanej kobiety w średnim wieku. Po kilku zdaniach kroczę razem z nią, ale w przeciwnym kierunku, i w krótkim czasie jestem u celu wyprawy.

Eufemia Gaśławska jest bibliotekarką od piętnastu lat. Już w trakcie pracy zawodowej ukończyła studium bibliotekarskie. Kiedy oprowadza mnie po pomieszczeniach, z minuty na minutę czuję się coraz bardziej zadowolony. W dwóch z nich urządzono wypożyczalnię (dla dorosłych i dla dzieci), w trzecim ośrodek wiedzy rolniczej i jednocześnie przytulną czytelnię, w czwartym — magazyn książek. Razem 96 metrów kwadratowych, zastrawionym gustownie i niestarym sprzętem. Ponadto jest telewizor, radio, magnetofon, adapter, telefon i — uwaga — łazienka! Centralne ogrzewanie!

Kiedy pytam kierowniczkę, kto był taki szczodry dla biblioteki, mówi ciepłym głosem: — Pan naczelnik.

Działalność kulturalno-oświatowa biblioteki uwierzytelnia sześć dyplomów, zdobywanych jedną ze ścian wypożyczalni dla dzieci. Dowiaduję się, że dzięki różnorodnym formom tej pracy z usług biblioteki korzysta 42 czytelników więcej niż w roku minionym. — Od września do grudnia powinno się zapisać kilkudziesięciu nowych — przewiduje pani Gaśławska. Również w punktach bibliotecznych, których w gminie Trzciannie jest 15. Te w Szorcach, Boguszkach, Chojnowie i Krynicach są najlepsze. Fakt ciekawy dla socjologii kultury i metodyki jej upowszechniania: w gminie Trzciannie większość punktów bibliotecznych jest prowadzona przez uczniów starszych klas miejscowej szkoły zbiorczej.

PNIEWO, 28 SIERPNIA 1981. Tu jest zlokalizowana biblioteka publiczna „wojewódzkiej” gminy Łomża. Jej filie znajdują się w Konarzycach, Wygodzie, Podgórzu i Kupiskach. Pięcioosobowa kadra legitymuje się wykształceniem średnim, a młodszutką kierowniczką, Anna Grzanko, zdobywa zaocznie kwalifikacje bibliotekarskie w Białymstoku.

Biblioteka publiczna w Pniewie zajmuje jeden lokal o powierzchni 45 metrów kwadratowych. Za jej

ścianą stoi pusty pokój o niewiele mniejszym metrażu. Pani Annie marzy się ten lokal do pracy z dziećmi i młodzieżą, ale miejscowi strażacy przeznaczili go na zebrań. Jak się dowiaduję — te „zebrania” to w rzeczywistości bufet, z całym jego dobrodziejstwem, w czasie zabaw tanecznych, których w Pniewie (co prawda, to prawda) odbywa się dość dużo. Milczę wymownie i zastanawiam się, kiedy pniewscy strażacy przestaną skutecznie gasić kulturalne zapalenia młodych, kiedy święty Florian da im cnotę życzliwości do ubogiego jestestwa, zwanego kulturą? Ale póki w sprawę nie wmisza się święty, co pan na to, naczelniku gminy Łomża?

Pytam o opał. W Pniewie go jeszcze nie ma, a o tym, czy mają go już wszystkie cztery filie, Anna Grzanko nie wie. — A kto ma wiedzieć? — naciskam i tłumaczę, że ona przede wszystkim odpowiada za organizację usług czytelniczych na terenie całej gminy.

Pytam dalej o funkcjonowanie punktów bibliotecznych. Okazuje się, że nie ma ich jeszcze w wielu wsiach. Zobowiązuję kierowniczkę do założenia ich jeszcze w tym roku kalendarzowym. Przy pożegnaniu życzę jej dużo i wybrednych czytelników. Mówi mi, że jej życzenia są podobne.

RAJGRÓD, 3 WRZESNIA 1981. Biblioteka publiczna mieści się tu w pomieszczeniu o powierzchni 22,5 metra kwadratowego. Oglądam dokładnie pomieszczenie i myślę smętnie o mistrzowskim opanowaniu przez niektórych gestorów sztuki nieprawdopodobnego ścieśnienia tego, co swoją urodą powinno zachęcać i wabić do siebie, a we własnej obronie nie potrafi trzasnąć pięścią w stół, napisać skargi, sprowadzić wysokiej komisji.

Dyrektor Józefa Łucja Radykowska chyba czyta moje myśli, bo mówi: — Jeszcze kilka lat temu nasze warunki lokalowe były dużo lepsze. Przeniesiono nas tu w związku z rozpoczęciem remontu budynku. Po zakończeniu remontu już tam miejsca dla nas nie będzie.

— A na co się znajdzie? — pytam.

— Na biuro. Jak w tej sytuacji ratować interesy czytelnika dziecięcego? Dochodzimy do wniosku, że trzeba w innym miejscu miasta, choćby w jednym pomieszczeniu, otworzyć oddział dla dzieci. Postanawiamy tę koncepcję przedłożyć naczelnikowi albo sekretarzowi Urzędu.

Józefa Radykowska i Regina Witosław z grajewskiego oddziału Biblioteki Wojewódzkiej mówią mi o 17,5 metra kwadratowego filii bibliotecznej w rozległej i ludnej Woźnejwsi, o pracownię i ofiarnej kierownicze filii w Beldzie, Halinie Jagłowskiej, o 19 punktach bibliotecznych zlokalizowanych we wsiach większych i mniejszych, a także o tym, że punktowymi są tu przeważnie kobiety w średnim i starszym wieku. Chwałą Helenę Łacińską, softysową z Czarnejwsi, i Stefanię Matysiewicz z Rybczyni, która spośród 106 mieszkańców położonej w głębokim lesie wioski ma w swoim punkcie 42 czytelników. A kiedy pytam o wiernych sojuszników w pracy kulturalno-oświatowej biblioteki, Józefa Radykowska wymienia Halinę Zalewską, dyrektorkę miejscowego Domu Kultury, oraz nauczycielki Elżbietę Stępieńską i Alicję Przekopowicz.

Opalu, niestety, nie ma jeszcze ani w bibliotece rajgrodzkiej, ani w jej filiach. Jest natomiast zapewnienie Gminnej Spółdzielni, że wszystkie trzy placówki są na liście uprawnionych do jego zakupu.

Przed opuszczeniem Rajgrodu składam wizytę sekretarzowi Urzędu Miasta i Gminy, Mieczysławowi Giejsztarowiczowi. Mówię o pilnej potrzebie otworzenia oddziału dla dzieci. Jako nauczyciel z zawodu doskonale mnie rozumie. Obiecuje w imieniu naczelnika i własnym, że ten wniosek zostanie zrealizowany możliwie szybko.

W domu przeglądam notatki sporządzone podczas mojego sześciogodniowego rozpoznawania stanu bibliotek publicznych. Zaczynam myśleć o tym, jak nie dopuścić do zepchnięcia ich z podstawowych płaszczyzn, na których toczy się życie społeczne województwa. Wiem, że to nie będzie ani proste, ani łatwe. Póki co, zaczynam liczyć sprzymierzeńców. Rachunek jest trudny i powikłany.

JÓZEF PAŁKA
Fot. GABOR LORINCZY

11
KONTAKTY
18.X.1981



Rozbicie kasy powiatowej w nocy z 25 na 26 grudnia 1905 roku w Wysokiem Mazowieckiem było jedną z najbardziej brawurowych akcji Organizacji Bojowej Polskiej Partii Socjalistycznej. Dopiero w następnym roku przychylił się tego rodzaju wyczyny zbrojne, co „krwawa środa” 15 VIII 1906 r., napad na general-gubernatora warszawskiego, Georgija Skalonę, 18 VIII 1906, zatrzymanie pociągu pod Rogowem 8 września 1906 r. czy załazg z policją carską pod Bezdanami 26 listopada 1908 r.

W dziejach ruchu rozbicie klasy stało się epizodem, ale jego legenda wśród łomżyńskich wchodzących w życie na przełomie wieków XIX i XX — pozostała. Wstrząs, jakim była ta akcja dla wyobraźni młodych, musiał być ogromny, skoro wielu z tych, którzy wówczas przeżywali swój „czas chmurny i durny”, wracało do tego wydarzenia w swych wspomnieniach w kilkadziesiąt lat później. Pisali o tym prof. Bohdan Winiarski, prof. Piotr Bańkowski, dr Mieczysław Czarnecki, Roman Jabłonowski, prof. Bohdan Suchodolski. Legendy w tych opisach miesza się z faktami. Padają różne cyfry dotyczące liczności bojowców. Zarekwirowana wówczas suma waha się w granicach od 100 tysięcy do pół miliona rubli. Jako zacierpnięta z drugiej ręki — podają wiadomość, że akcja dowodził sam Piłsudski.

Niedawno natrafiłem na relację Ludwika Sledzińskiego (przed 77 laty nosił pseudonim partyjny „Mikołaj”), w której niemal dzień po dniu opisane jest to wydarzenie. Autor pisał ją w wiele lat później i nie uniknął emocji.

Przygotowania do akcji w Wysokiem Mazowieckiem rozpoczęły się 24 grudnia 1905 roku w biurze CKR-u, gdzie Stanisław Sachs zaproponował Sledzińskiemu udział w rozbiciu kasy. O terminie rekwizycji zdecydowała informacja przekazana „centrali” przez Piotra Bańkowskiego (studiującego wówczas w Warszawie) o mającym nastąpić w dniu 25 grudnia wyjazdu do Zambrowa rotty wojska z Wysokiego Mazowieckiego. Organizacja postanowiła fakt ten wykorzystać.

Zorganizowaniem całego przedsięwzięcia zajął się Sledziński. Dostał do pomocy Feliksa Burdakę (pseudonim „X”), który później, aresztowany przez żandarmów, zgodził się na współpracę z Ochroną. Stefan Królikowski („Ogrodniczek”) otrzymał polecenie przygotowania wyjazdu z Warszawy na dzień 25 grudnia pięciu platek bojowych z bronią.

Koszty akcji miały wynieść 25 rubli „na głowę”, z przeznaczeniem na wydatki — jakbyśmy to dziś nazwali — delegacyjne: bilet kolejowy, wyżywienie, ewentualny nocleg; wyposażenie gratisowo dawała Organizacja, czyli broń osobista, dynamit, zapalniki i lont (zwany sznurkiem biskfordowym).

Jako szpica wyjechali Sledziński i Burdak. Z warszawskiego pociągu wysiedli w Szepietowie, skąd furmanka zabrała ich do Wysokiego Mazowieckiego. Dotarli tam przed świtem. Był to pierwszy dzień świąt. Ludzie szli do kościoła. Zrezygnowali z poszukiwania punktu kontaktowego, którego adres otrzymali w Warszawie, i przeczekali do dnia w żydowskiej herbaciarni. Rano okazało się, że towarzysz, który miał ich oczekiwać — nie powiadomiony w porę — wyjechał do rodziny na wieś. Przybyłszy zawahali się. Potem zapytali gospodynię domu, kto najczęściej przychodził do jej lokatora. Kobieta podała im adres, mieszkającego niedaleko, nauczyciela. Po wejściu do nieszkania zagrali w otwarte karty: spytali wręcz, czy ich wybrany na chybił-trafił współpracownik jest członkiem PPS. Przeczyło to wszelkim zasadom konspiracji. Na szczęście nauczyciel okazał się nie tylko karnym członkiem partii, ale również dysponował wszystkimi, niezbędnymi do przeprowadzenia rekwizycji, informacjami. Pochodzili one od samego kasjera, którego gospodarz był krewnym.

Do kasy kasy wpisaną ostatnio 480 tysięcy rubli; leżały one w trzech żelaznych skrzynkach. Ponadto w sejfie było tego dnia 20 funtów w złocie, a wszystko pod opieką dwu uzbrojonych w rewolwery strażników.

Przybywszy natychmiast przystąpili do rozpoznania miejsca przyszłej akcji. Spacerując ulicą koło budynku, w którym mieściła się kasa, zastanawiali rozmieszczenie drzwi i

okien, zmierzili odległości i poznali trasy przyszłego odwrotu. Koło południa 25 XII powrócili do Warszawy. Sledziński złożył raport Stefanowi Królikowskiemu, następnie ustalili godziny i miejsca spotkań przed akcją.

Tę samą noc grupa licząca 23 młodych ludzi, podzielona na dwa oddziały, zapakowała się do pociągu kolei nadnarwiańskiej. Po przyjeździe do Szepietowa ruszyli pieszo przez las w stronę Wysokiego Mazowieckiego. Po kilku kilometrach zatrzymali się na krótki postój, w czasie którego wszyscy członkowie grupy poznali plan akcji.

kasy. Potem zdecydowaliśmy się dynamitem otworzyć drzwi do skarbcza.”

Jak bardzo niedoświadczeni jeszcze chłopcy chodzili wówczas na akcje OBPPS, świadczy fragment wspomnień, w którym Sledziński opisuje perypetie wyniku podczas tego przedsięwzięcia: Dynamit z łatwością w dziurkę (od klucza) wepchaliśmy, lecz lont do kapsli wejść nie chciał. Byliśmy w wielkim kłopotcie, bo zdawało się, że lont jest za gruby. Kilkakrotnie przycinaliśmy go szukając cieńszego miejsca, przy tym zaciąłem so-

gruby lont

Na rogatkach miasta dowodzący i zastępca uzbili materiał wybuchowy i rozstawili patrole z zadaniem niewypuszczania z miasta nikogo aż do zakończenia akcji.

Idąc ulicą koło magistratu natknęli się na — żegnających się bardzo wyawnie — naczelników: powiatu i miasta. Miejscowe naczelnictwo było tak pijane, że nie zwróciło uwagi na maszerującą grupę, która wkrótce dotarła przed budynek kasy.

„Zapukalem dość mocno we drzwi — pisał Ludwik Sledziński — na co wewnątrz odezwał się jeden z dozorców: — Kto puka, czego trzeba?”

— Proszę otworzyć zaraz, natychmiast...

— Nie mogę, proszę pana, niech pan idzie do kasjera, jeśli on przyjdzie i każe otworzyć, to ja otworzę, bo bez kasjera nie wolno mi nikomu otwierać.

— W imieniu Polskiej Partii Socjalistycznej rozkazuję natychmiast otworzyć drzwi!

— Nie mogę, nie wolno bez kasjera...

bie palec u ręki, który mocno krwawił.

Wreszcie wpadliśmy na pomysł, aby lontu nie przecinać na wprost, a na ukos”.

A oto dalszy ciąg akcji: „Zapaliliśmy lonty i skryliśmy się za ścianami skarbcza. Po 20 sekundach nastąpił wybuch, instynktownie schowaliśmy głowy, gdyż wydawało się nam, że cały dom się wali. Na moment ogłuszyło nas. Gdy zaczęliśmy przychodzić do przytomności, spostrzegliśmy, że w pokoju panuje ciemność, a w powietrzu unosi się zapach nafty pomieszany z dymem.

Po oświetleniu wnętrza zobaczyliśmy, że ze szklanych części lampy pozostały tylko drobniutkie cząsteczki, i cała nafta ze zbiorniczków wylatała się na podłogę, że wyleciały wszystkie szyby, pręty w oknach zostały powyginane. Tynk z sufitu i ścian zaścielał podłogę. Nie ocalała ani jedna lampa, więc już byliśmy zdecydowani iść do są-



— Towarzysze, dalej do dzieła!

Raz, drugi, trzeci łomem drzwi podważaliśmy i bez większego wysiłku otworzyliśmy je. Drugie drzwi okazały się do połowy oszkłone, jednak nie wybijaliśmy szyb, tylko łomem otworzyliśmy. Wchodząc do pokoja oświetlonego naszymi latarkami uczuliśmy ciepło, dymem tytoniowym przesycone powietrze i ujrzelśmy drżącego ze strachu stróża z rewolwerem prawie łokciowym w rękę. Najpierw zapaliliśmy wszystkie lampy, jakie były w lokalu kasy, odebraliśmy rewolwer stróżowi, któremu powiedziałem, że przyszedłszy po rządowe pieniądze na potrzeby rewolucji, więc żeby nie ważył się ani uciekać, ani krzyczeć, że musi nam powiedzieć szczerą prawdę, kiedy go o coś pytaliśmy, a jeśli się nie zastępuje, to kula w łeb. Stróż prosił, żeby tylko go nie zabijać, że co tylko wie, to natychmiast powie. Wtedy usadziłem go na ławce, z której się ze strachem i ciekawością przyglądał naszej robocie.

Najpierw zabraliśmy się do szczegółowego obejrzenia pomieszczeń

siadów, żeby pożyć lampy, gdy stróż sobie przypomniał, że w jednej z szaf muszą leżeć świece.

Przed wybuchem jeden ze stróżów, który w czasie naszego ataku uciekł na strych, zaczął krzyczeć przez dziurę w dachu. Po kilkakrotnych ostrzeżeniach, że jeśli nie przestanie wrzeszczeć, to go zastrzelimy, jeden z towarzyszy puścił mu kilka strzałów. Dopiero gdy od wybuchu zatrząsł się cały dom, stróż na strychu przestał wzywać pomocy.

Kłódka i zamek były zerwane, drzwi do skarbcza otwarte. W skarbcu znaleźliśmy kasę ogniotrwałą i trzy opieczetowane nieduże skrzyneczki żelazne. W skrzyneczkach tych było 480 tysięcy rubli, zupełnie nowych, dopiero co przywiezionych z Petersburga. Były one w 1, 3, 5, 10, 100-rublowych papierkach i przeznaczono je na budowę fortu w Zambrowie.

Małym łomem przedkośmy skrzyneczki rozbili i wszyscy towarzysze odpowiednią ilość paczek zabrali

ukrywając w torebkach na pasie pod koszulką... Nie było żadnej kontroli, kto ile zabiera, bo pewność i zaufanie do towarzyszy było zupełne”.

Następnie rozbili kasę. Gdy otworzyli żelazne pudło, ktoś wpadł z obstawy wołając, że do budynku zbliża się wielki tłum. Wówczas dowodzący akcją wyszedł i wygłosił do zebranych długie, patriotyczne przemówienie, zakończone okrzykiem na cześć rewolucji. Ponieważ nie było w tłumie nikogo, kto by okrzyk powtórzył, dowódca zagroził, że gdyby ktoś wyżył się im przeszkadzać, a broń Boże — strzelać, wtedy oddział będzie zmuszony rzucać bomby, co może doprowadzić do zniszczenia całego miasta. Jeden z gwardzystów poszedł do kościoła, aby nie dopuścić do ewentualnego bicia w dzwony na trwogę.

Kasa ogniotrwała została otworzona tym samym sposobem, co drzwi do skarbcza. W dziurki od kluczy włożyli dwa ładunki, i — omal nie doszło do nieszczęścia: zaraz po pierwszym wybuchu bojownicy weszli do pomieszczeń, a wtedy rąbnęło po raz drugi. Cudem odeszło się bez wypadku.

Wewnątrz kasy — zgodnie z otrzymaną wcześniej informacją — był woreczek ze złotymi pieniędzmi i 300 książeczek paszportowych.

Padł rozkaz: — Ustawiać się czwórkami! — bo w ten sposób można było wyrobić fałszywe świadectwa wśród ludzi stojących przed budynkiem, o liczebności grupy, natomiast uczestnicy akcji dwójkami odmaszerowali na stację. Po drodze Sledziński zatrzymał bryczkę, którą miejscowy Zydek wioził podróżnych do miasta, wyprosił pasażerów i kupił pojazd wraz z koniem za 250 rubli. Wkrótce nadjechała druga bryczka. Ta również została kupiona.

Siedmiu ludzi z tej grupy ruszyło na piechotę do Warszawy, ośmiu pojechało zakupionymi pojazdami do Łomży. Wzięli część pieniędzy, które mieli oddać w miejscowym Okręgowym Komitecie Robotniczym, a sami — powrócić koleją do Warszawy. Sześciu następnych ruszyło pieszo do Siedlec. Oni też wzięli część pieniędzy. I zgodnie z planem — zrobili podobnie, jak ósemka łomżyńska.

Jadących do Łomży zatrzymano w Zambrowie. Wywiązała się strzelanina, w której zginął policjant i został ranny żołnierz carski.

Epilog tej wyprawy ma charakter zgola kryminalny. Okazało się, że w grupie biorącej udział w akcji na kasę w Wysokiem Mazowieckiem byli ludzie, którzy postanowili na niej zarobić. Ponieważ nikt nie liczył, kto ile bierze, niektórzy po prostu zatrzymali sobie co nieco. Z zarekwirowanych 480 tysięcy rubli do kasy Centralnego Komitetu Robotniczego wpłynęło tylko 397 tysięcy. Siódemka z organizacji działającej na Woli — jak wykazało późniejsze śledztwo — przyczyniła się do 83 tysięcy rubli, z czego jeden (nazwiskiem Kruk) ukraść 50 tysięcy, a w obawie przed wyrokiem uciekł do Ameryki, gdzie się podobno rozpił i cały majątek przeżył.

Za 180 tysięcy rubli Organizacja kupiła broń — podobno aż w Belgii; druga część przeznaczona na robotę organizacyjną. Przygotowania do strajku w roku 1906 zostały opłacone z rubli, które miały służyć caratowi.

O akcji na kasę w Wysokiem Mazowieckiem pisała cała ówczesna prasa. Dziennikarzom właśnie należy zawdzięczać powstałą wówczas wokół tego wydarzenia legendę. Nikogo z uczestników nie aresztowano. I gdyby nie ów haniebny epizod z przywłaszczeniem — rzecz zostałaby zapisana złotymi zgłoskami w dziejach Organizacji.

ZENON PIECHOCIŃSKI
Fot. CAF

Z r 6 d 1 a

„Robotnik” — Centralny Organ PPS, nr 132 (150),
Ludwik Sledziński: „Lubartów — Wysokie Mazowieckie”, 1925 r.,
Kazimierz Włoch: „PPS 1918—1921”, KIW, 1978 r.,
„Słownik historii Polski”, Wiedza Powszechna, 1989 r.



W 1945 r. przyjechałem z matką do Polski. Zaraz po wojnie osiedliśmy się w miejscowości Cz. Czuliśmy się swobodnie. Tylko w czasie jazdy przezywano mnie — „Rusek”. Może dlatego, że władałem dobrze, w mowie i piśmie, językiem rosyjskim. Jakże dziwne losy! Tam „Polak”, tutaj — „Rusek”.

Z początku nie miałem czasu zajmować się działalnością społeczno-polityczną. Praca, tylko praca w obojętności i na polu zaniedbanym, zapuszczonym, goniła schyłek wiosny. Potem przyszedł tzw. martwy sezon. Zaczęłem organizować „Vici”. Wiedziałem, że zadanie będzie bardzo trudne. Widziało się te wielkie zniszczenia, tu i ówdzie nie pogrzebane trupy. Czasem przy orce wyleciał młody chłopiec, nadeptawszy na minę. Widziało się wiele, wiele czekało nas do zrobienia. Mówić i mówić — to można było dać obecnie osiedleńcom.

Ale obce organizacje przeniknęły do nas, na zachód. Ci sami ludzie, którzy działali na wschodzie, wrogo nastawieni do nowego ustroju, chcieli powstrzymać młodych od umacniania władzy. Zaczynali wojnę partyzancką. Podpalali z ukrycia domostwa aktywistów, rzucali w nocy kamieniami. W nocy matka zmuszała mnie do pilnowania gospodarstwa, by go nie podpalano. Przez swoją działalność stałem się wrogiem dla matki, moich sióstr i brata. Stale mi wypominano aktywną pracę. Wtedy chwaliła mnie, kiedy pracowałem w pocie czoła na jej gospodarce. Pracowałem uczciwie. We wsi śmiali się z takiego przewodniczącego koła, który głosi równość wśród swoich, zanikanie wyzysku człowieka przez człowieka, a sam jest żyłowany przez matkę, chodzi w podartych portkach. Nawet dobrze umyć się nie ma czym, bo i mydła żałowała. Ale o swoje się nie dbało. Kochałem swych kolegów i koleżanki. Kiedy szło się do pracy, serce rosło i dusza śpiewała. Idąc z pola, śpiewaliśmy piosenki partyzanckie i rosyjskie. Echo po polu roznosiło nasze głosy: paśka Kasia swoje wołki, gdy rozwidniało się. Potem przyszło referendum organizować, 30 czerwca 1946 r.

Właśnie taki jest człowiek prosty i oddany sprawie: za swoją pracę niczego nie żąda, żadnych zaszczytów i korzyści; oddaje to krajowi, na co go stać. I tak zorganizowaliśmy ORMO. Było ono potrzebne, bo nie brakowało szabrowników i różnego rodzaju opryszków. Wiecej i miejsce cwaniacy uważali, że nadeszła pora kiwać chłopą, bo chłop jest ciemny, taki jak przed wojną. Nie rozumieli jednego, że największy ciężar walki spadł właśnie na chłopą. Karmił, leczył, ukrywał, transportował broń. Jeszcze do tego walczył. Teraz, kiedy wrócił do swych pieleszy, mieszcuch nim wzgardzał. Kulak — wołano — zabrać mu to wszystko, zabrać warsztat pracy! — Długo trzeba było tłumaczyć, a niektórych krzykaczy wręcz zamykać na kilka dni, by odwieść od paniki. Wszystko działało się dlatego, że nie docierała do nas prasa. Oni przyjeżdżali i odjeżdżali, a my tkwiliśmy w miejscu, jak przyrośnięte drzewa.

Ta walka i współpraca organizacyjna nie była łatwa. Jak coś trzeba było uzyskać lub z czego skorzystać, wtedy wielu wołało: — Ja jestem w „Viciach” lub ZWM. Kiedy przyszło np. Boże Ciało, to głęboko chowali swoją przynależność. Miejscowy ksiądz uparcie wręcz ganił takich jak ja, by czasem nie służyli dwóm bogom. Dobrze robił. Jednemu służyć trzeba. Najważniejsze, że organizacja istniała i działała. Działalność była dobra. Organizowaliśmy zabawy, wiece, manifestacje. Tym samym podkreślaliśmy wrogiem na zachodzie — bo oni zawsze szczerzyli i czekali, aż wybuchnie trzecia wojna — że my tu tkwimy i wojny nie chcemy. Wielu było opornych. Nie chcieli nawet naprawiać swych domostw. Tkwili, jakby byli na tymczasowym terenie. Za to, przy naszej pomocy, szybko naprawiali płoty i zagrody.

Znając psychikę chłopą, włączyliśmy przez dziurawe i obalone parkany do sadu, trzęśliśmy gruszkami i jabłkami, nabieraliśmy za pazuchę. Zaraz na drugi dzień chłop brał się do stawiania parkanu. Na zebraniu wy-

różniało się go publicznie: że jest patriotą i daje przykład innym, że gospodarę uważa nie za tymczasową, ale za swoją. Nim się chłop obejrzał, już mu wszyscy klaskali. Czy taka metoda wychwalania i umacniania chłopą była dobra? Dzisiaj wiem, że nie. Ale w tamtych czasach trzeba było jakoś działać. Ci, zdawalioby się, opieszali, mniej interesujący się działalnością społeczną, na zebraniach czuli się faktycznie gospodarzami tego regionu kraju. Mówili o wadach i potrzebach wsi. Byli świadomi teraz, że władza należy do ludu. A zaktywizowało ich zerwanie kilku gruszek. Na taką stratę nie mogli sobie pozwolić. Prawdą jest: chłop żywemu nie przepuści. I tak umacniała się władza.

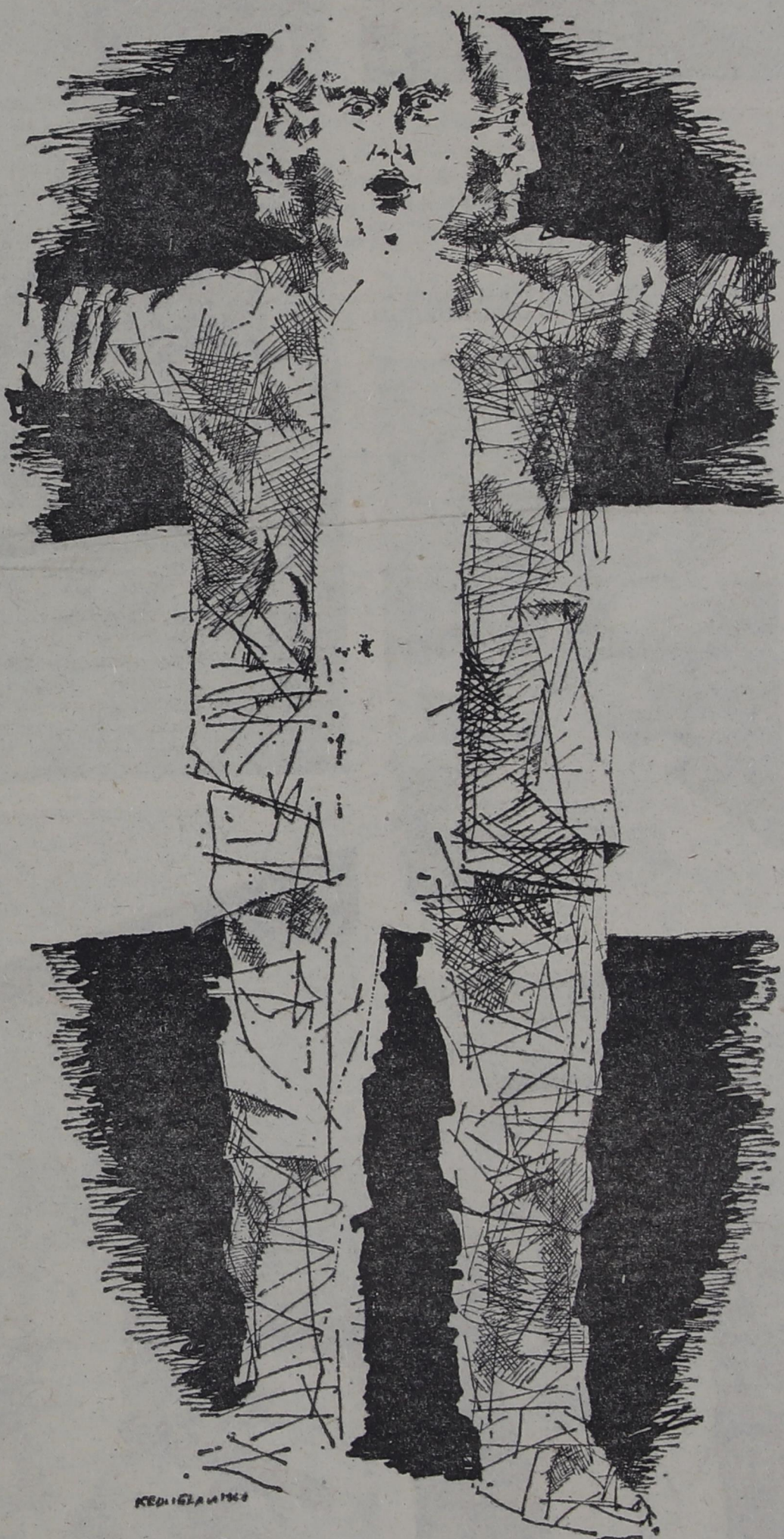
Mama stale była zatroskana „o swą dziatwę”, jak mawiała. Otwie-

misjonarz w czerwonym krawacie

liśmy i dojechaliśmy końmi, wszystko dogorywało. Rozpacz! Wróg uderzał, ale zarazem podsycał naszą wolę i spajał nas wszystkich, nawet poważniejszych. Bo jeżeli byłem z kimś poważniejszym i przyszedłem poszkodowanemu z pomocą, to on widział, że bariera już przełamana. I zaczynała się nowa przyjaźń.

Najtrudniej przerwać stare nawyki. Ksiądz działał na naszym terenie nie gorzej niż za czasów przedwojennych. Politykę rządu i partii trzeba było dostosować do potrzeb miejscowej ludności. Nie należało potępiać tych, co do kościoła chodzili. Ja właściwie byłem bardzo wierzący, bo wychowywałem się u sióstr i księży Salezjanów, lecz z biegiem lat i pod wpływem politycznych tarć zacząłem wątpić w wiarę. Rozumowałem, że nie jest taka idealna, za jaką się podaje. Nie mogłem czekać na nagrodę w niebie; oczekiwałem jej tu, na ziemi. Zapraszaliśmy na zabawy i księdza, który zaglądał w kąt, czy my, młodzi, nie całujemy się z dziewczynami.

Walkę moralną wygraliśmy. Cieszyłem się bardzo, że zaczynają



rano już szkołę. — Działka ma benzynie kinżynierami — powiedziała.

Dzisiaj brat jest inżynierem w Jaworznie II (elektrownia); siostra, magister filologii polskiej, pracuje w bibliotece. Ja ukończyłem technikum ekonomiczne w wieku 34 lat, będąc na rencie inwalidzkiej. Druga siostra jest dyplomowaną pielęgniarką, trzecia — technikiem chemikiem. Wszyscy mamy zawód i pracę. Spełniły się słowa matki.

Zeby do tego dojść, trzeba było, krok po kroku, drażyć przeszkody i iść do celu. Tych przeszkód było dużo. Raz, pamiętam, we wsi podpalamo zagrodę Krynickiemu i Bolewkiemu. Byliśmy daleko na polach, jakie dwa kilometry. Nim dobieg-

wszyscy rozumować politykę naszego rządu i partii, a słowa nie szły na marne. Krzepiliśmy w pracy i trudzie: krzepiliśmy moralnie.

W 1950 r., po powrocie z wojska, matka przede mną zamknęła drzwi. Kazała mi opuścić mój rodzinny dom. Mówiła, że ma dosyć mnie i mojej działalności, że jestem niespokojna dusza i wyrotowiec, z którym nie może dalej pod jej dachem przebywać. Więc nic innego nie pozostało, jak tylko spakować manele i ruszyć w drogę. Siostry i brat uczyli się w Liceum Ogólnokształcącym na całkowity koszt państwa. Władze dawały internat z wyżywieniem. Matka prawie nie, tylko symbolicznie pokrywała wydatki. Cukierka kupiła lub flaszke wina ze

sklepu, „Złotą renetę”, to wszystko. Oj, jak ja im zazdrościłem. Matka zaradna była. Wszędzie podkreślała, że dzieci i ona są sierotami. Mąż zginął pod Budziszynem i ona oddała wszystko władzy ludowej, bo życie własnego męża i ojca dzieci. Jej nie trzeba było propagandy ani umacniania władzy ludowej. W jej pojęciu — władza ludowa była umocniona w stracie męża.

Władze szły jej na rękę. Jeśli nie pomogła propaganda, to pomogła butelka samogonu i dobra zagrycha. — Ja ci dam, ale korzyścią i ja musza mieć — wołała. Zazwyczaj ta niegramotna kobieta umiała życiowo do wszystkiego podejść. Jak jej nie chcieli dać konia z UNRRA, bo już jednego otrzymała, wołała: — Patrzajcie no! To ja mam syna, aktywistę w ZWM — mówiła nieprawdę, bo byłem w „Viciach” — ojca straciła na wojnę, jest pochowany na cmentarzu Budziszyna, a oni tutaj szkapiny dać niechcą! Sabacza ich dusza!

Czasem wójt gminy napomykał mi nieśmiało, bym ją poskromił. Ale matka umiała ich poskromić. Zapraszała do mieszkania, poila, karmiła, a kiedy mieli w czubie (a i ksiądz zasiadał razem z władzami gminy), wszyscy byli zgodni, że władza jest sprawiedliwa i ludowa, więc jak tego ludu nie kochać.

Moja praca i postawa były wyzwoleniem młodości. Dzieciństwo dało mi się we znaki. Matka oddała do sierocińca, gdy byłem jeszcze niemowlakiem. Tam poznałem smak sierociego chleba i poniżenia. Zobaczyłem jak można bezkarnie bić i fluc, nawet kopać. Nie było na księży kary Bożej, pod której groźbą musieliśmy znosić cierpienia i pokutować. A za co my znosiliśmy cierpienia i poniżenia?

— To „Podrzutek” zrobił — wołały za mną zakonnice. Bolało mnie to bardzo. Inne matki przychodziły do dzieci, moja nigdy mnie nie odwiedziła. Miałem czterech wujków, dość zamożnych, babcię i dziadka, którzy mieli po osiem hektarów gruntów. Ja byłem im niepotrzebny — nieślubne dziecko mojej matki. Wiem, ile matka upokorzeń zniosła we wsi. Wiem, że moi wujkowie i dziadkowie woleli się latami sądzić o zapis dla matki niż mnie wychowywać. Grunty tylko łączyły rodzinę, a nie miłość. Wujek ożenił się z kobietą, która była od niego o całe 24 lata starsza. Matka wyszła za mąż za mężczyznę, który niczego nie posiadał, ale miał smykałkę do pracy i fachu. Kazał się we wsi nazywać „kinżynierem”. Miał lat 24, a matka 34 lata i trzy hektary gruntu. Wojna podjazdowa o zgłodnienie konkurentów spadkowych miała charakter groźny i śmieszny. Ojczym wykombinował sobie karabin z obciętą łufą (obrezankę), nabijał łufę prochem lub gilzy pociętymi świecami napelniał i z ukrycia strzelał do swych rzekomych wrogów. Często sądzili się przed wojną. Sądy i adwokaci tylko zarabiali. Wieś bawiła się tym, że najbogatsi niegdyś obywatele ziemscy włóczyli się po sądach i schodzą na dziady. A napisano to w „Psalmie”: „bogaczów z torbą puścił i nędznie rozproszył”.

Gdy przyszła wojna, wszystko przycichło. Ojczym w 1939 roku, za napad z bronią w rękę na popa, został aresztowany przez władzę radziecką. Matka została sama z czworgiem dzieci. Ja byłem u innych ludzi. Sierociniec nie miał pieniędzy na nasze utrzymanie i postanowiono nas jakoś się pozbyć.

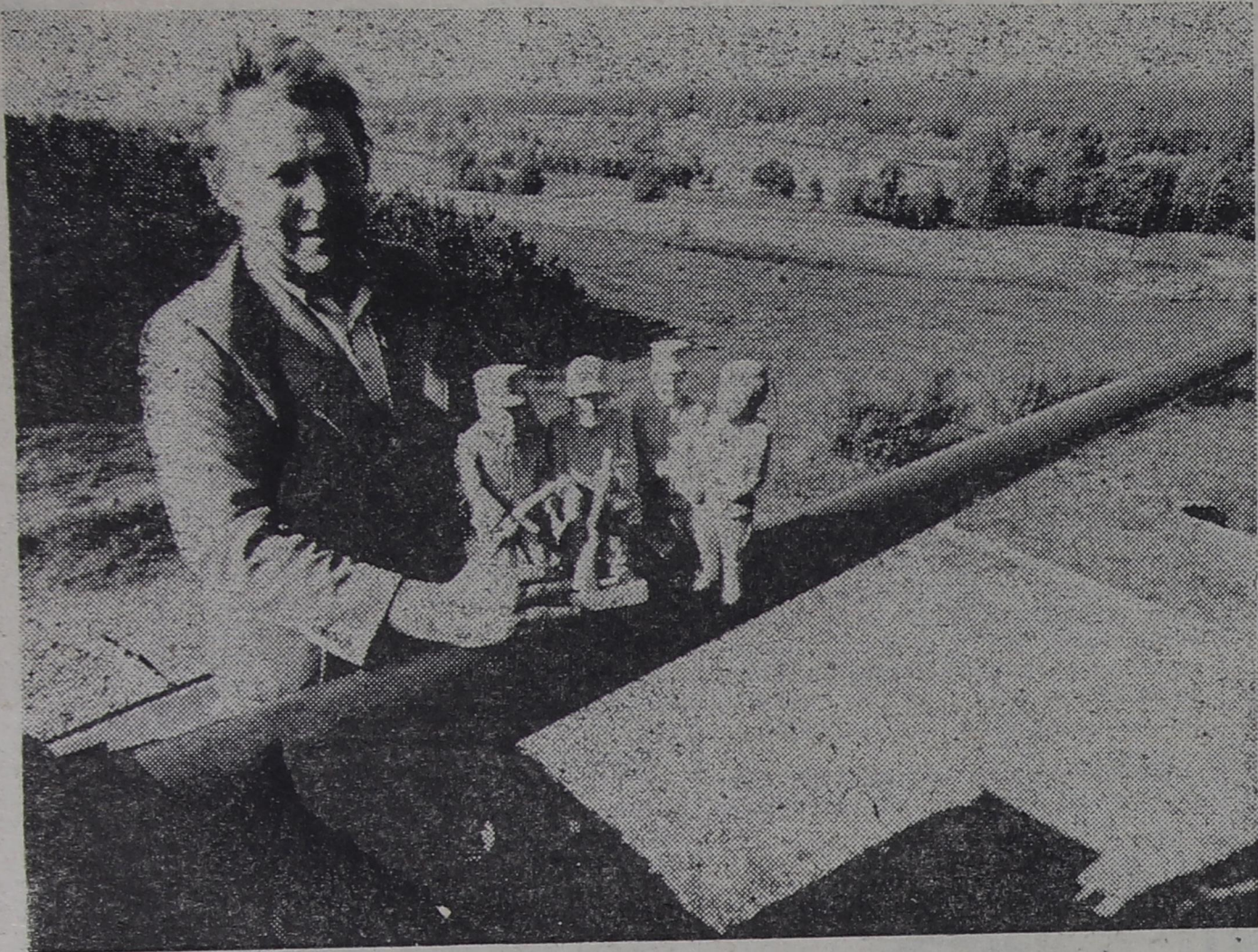
Pracowałem za parobka i pastucha w Mniskach. Tam też poniżenia znosiłem. Spałem na wyrku, na strychu lub w żłobie, w stajni. Nie było dla mnie miejsca nigdzie w domu. Raniutko, skoro świt, wstawałem i goniłem krowy na łąkę. Miałem ich jedenaście sztuk. Prócz tego trzy konie, owce i barana, który rozpruwał mi do ostateczności nerwy. Wszystko to zwalili na mnie, a przecież do jedenastego roku życia nie miałem nic wspólnego z chowaniem koni, krów, owiec oraz pracą w gospodarstwie. Aha! Ojciec mój, jak mówiła mi matka, niejaki Józef Sennowski, podobno był wójttem we wsi Drachłowce za Bugiem. Nigdy go na oczy nie widziałem. Dzisiaj mam 50 lat i nadal go nie znam.

WODNIK

Rys. S. KĘDZIELAWSKIEGO

pokolenie





Stanisław Kozielski potrzebę rzeźbienia poczuł siedem lat temu gdy przeszedł na rentę. Przedtem — przez 40 lat — był kierowcą

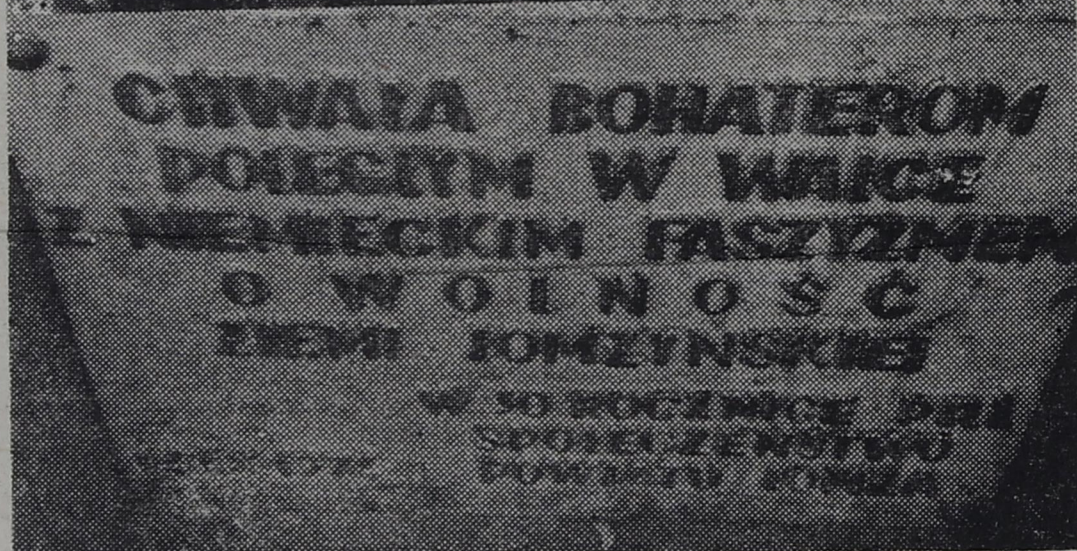
Swoją wojenną życiorys rozpoczął w roku 1943 kiedy to wstąpił do partyzantki legendarnego Kotpackowa. W rok później był już wśród berlingowców Wyzwalał Warszawę swoim studebackerem dotarł do Odr. Szczerze przyznaje że nigdy nie był na pierwszej linii frontu, jedynie zaopatrywał go w amunicję żywność. Dzień 8 maja 1945 r. był jego podwójnym świętem, ponieważ obchodził pierwsze imieniny w wyzwolonej Polsce.

Do Łomży trafił z wojskiem. Pokochał to miasto. Tu poznał swoją przyszłą żonę. Ciężkie to były czasy, szczególnie dla kierowców, ale wraz z żoną szczęśliwie wychowali troje dzieci. Niestety rozjechały się po świecie, choć wolałby aby zostały w Łomży.

Jest aktywnym działaczem ZBoWiD-u a w wolnych chwilach namyślnie rzeźbi. Jego dar dla Muzeum Straszdeł Demonów i Nesamowitości zamieściliśmy w 39/81 nr

„Kontaktów”. Jeśli artysta rozwinie swoją twórczość w dziedzinie niesamowitości — poświęćmy w Muzeum całą salkę na ekspozycję jego dorobku

Tekst i zdjęcia:
GABORA LÖRINCZEGO



MINI-KABARET
PIEKIEŁKO
PRZEDSTAWIA DRAMAT
ADMINISTRACYJNY
**DIABELSKIE
OBRACHUNKI**

Jak z pewnością nie nie pamiętamy, cztery nasze znajome diabły, ob. ob. Dojliski, Biebrzański, Bużanski i Narwiański, szukając wspólnego języka, zaczęli do siebie przemawiać rymem, czyli mową wiązanką. Ich nadzieje okazały się jednak płonne, czyli krótko mówiąc, diabli wzięli, czyli, mówiąc jeszcze krócej, nic z tego nie wyszło. Z wyjątkiem szydła, które zwykle wyłazi z worka. Teraz siedzą sobie i głowkują, co by tu dalej...

NARWIAŃSKI: Koledzy diablówiel! Porozumieć, tośmy się, niestety, nie porozumieeli, w związku z czym pozostaje już tylko nadzieja.

BUŻAŃSKI: I słusznie. Mam bowiem nadzieję, że mnie któryś z was poczęstuje papierosem.

BIEBRZAŃSKI: Którzy tu wstępujcie, wyzbądźcie się nadziei. Na moich terenach tytoń gwałtownie lato obrodził, dzięki czemu daje się obserwować brak tabaki oraz przetworów z tejże. Mogę was poczęstować skrzem z kurzego lajna w opakowaniu z „Gazety Współczesnej”, który to dziennik ostatnio silnie kopci. Zwłaszcza po oficjalnym dementi w sprawie własnej. Palcie, koledzy, być może wkrótce trzeba się będzie przerzucić na inną biutkę.

BUŻAŃSKI: Za lajno serdecznie dziękuję, z Gazety wszakże nie skorzystam. Umysł mam wystarczająco zatruty. Jeśli koniecznie trzeba ją palić, niechaj już lepiej spłonie na stosie, który podpalą serca nasze gorejące.

DOJLICKI: Zaru we mnie tyle, że już bym zaczął. Wiecie wy, jaką pieczeń można upiec na takim ogniu? Hej! Nawet kiełbasa trzeciego gatunku będzie smakować niczym szynka z pierwszej grupy asortymentowej.

NARWIAŃSKI: Pomysł oceniam pozytywnie, ale popieram negatywnie. Z dużego ognia mały bywa deszcz, czy też odwrotnie, już dobrze nie pamiętam. Macie który jakiś nawis w kieszeni? Za jedyne siedemset złotych nawisowych kupmy lepiej flaszke smółwki.

DOJLICKI: Niestety, została mi tylko sama rekompensata.

BIEBRZAŃSKI: A ja nie mam i tego, swoją dawną już zrekompen-sowałem do zera.

BUŻAŃSKI: Mnie również pozostał tylko zwis.

NARWIAŃSKI: W takim razie nie ma o czym mówić. Weźmy się za palenie, nie możemy przecież siedzieć beczynnie, musimy coś robić.

BUŻAŃSKI: A gdyby tak zawrócić kijem Biebrzę? Skoro biegu historii zawrócić się nie da...

BIEBRZAŃSKI: Wara od mojej rzeki. Zawracajcie sobie swój Bug!

BUŻAŃSKI: Ot i duren. Z łaski swojej weźcie do ręki mapę. Coście mieli w szkole z geografii?

BIEBRZAŃSKI: Ja nie byłem w żadnej szkole tylko na uczelni średniej wyższej z obowiązkowym przedmiotem dodatkowym. O!!!

DOJLICKI: Na dzisiaj koniec zajęć nadobowiązkowych. Jutro też będzie dzień, a może nawet i dwa. Jak dobrze pójdzie, ma się rozumieć. Czego jak czego, ale czasu nam nie brakuje. Do zmarnowania oczywiście.

WIESŁAW TOMASZEWSKI

Rano sensacyjna wieść obiegła całą okolicę. Stupiędziesięcioletni dziad, który wegetował u Gmorków, twierdził, że widział autentycznego ducha w resztkach murów starego grodu.

W tychże murach dziad widział ducha już kilkakrotnie, ale to były dawne lata. Teraz wzrok, osłabiony wiekiem, mógł mylić, więc znalazło się kilku śmiałków, którzy chcieli stwierdzić ściślej, jak z tym duchem jest naprawdę. Gnała ich uzasadniona ciekawość, gdyż taka ponadmaterialna osobistość w dzisiejszych czasach jest wyjątkową rzadkością.

Toteż z pierwszym zmkrokiem pięciu wścibskich ruszyło pod mury zamczyska, ale o świcie wrócili z kwaśnymi minami — ducha nie było.

Następne noce również nie wniosły do sprawy nic nowego. Tymczasem do pierwszych śmiałków zaczęli dołączać inni, twierdząc — i słusznie — że każda para oczu może być pomocna przy tropieniu ducha.

DUCH

Rosło ogólne podniecenie — zjawia się czy też nie?! Zaczęto stawiać horoskopy, które szybko przerodziły się w totalizatora sportowego.

Po dwóch tygodniach czatowała na ducha cała wieś, a w ciągu miesiąca dołączyła ludność okoliczna.

Ktoś wpadł na pomysł rozpalenia ogniska, podchwycili to inni i wnet wokół ruin rozmigotały się dziesiątki ognia. Teraz co noc regularnie iskrzyły się one niczym gwiazdy opadłe na ziemię.

Była w tym także zaleta, bo takie morze płomieni mogło łatwiej zwiabić ducha. Zły by przybył w nadziei, że napotka kamratów, dobry zaś by liczył na świetną okazję do nawrócenia większej liczby niegodziwców.

Ludzie coraz bardziej zaczęli przyzwyczajać się do tego osobliwego rytuału, a ilość oczekujących wzrastała z każdą nocą. Ciągnęły już pielgrzymki z całego kraju, by rozkoszować się w czekaniu na ducha.



DONOS OGŁOSZENIOWY

Nie jest żadną tajemnicą, że przyrost mamy na poziomie albo nawet wyżej. Niestety, nie idzie z nim w parze margines, który w naszym piekle jakby nawet skarłowaciał. Wystarczy ślepiem łypnąć do bardziej prosperujących piekieł, żeby stwierdzić, że tam ów margines stanowi całą odrębną kartę, a może i więcej. Tam jest on porządnie zorganizowany i samorządny, a u nas wystarczy, jak się pojawi jakiś uzbrojony po zęby, to się zaraz okazuje, że zęby są sztuczne.

Aktualnie wszyscy kładą nacisk na rolnictwo, co może jedynie cieszyć piekło, bowiem jednemu fachowcy dawno już stwierdzili, że naciskiem, owszem, mąkę można zrobić, ale ciasto pod nim nie wyrośnie. Tak wspomagane piekło widzi swą szansę w pełnym rozkwicie marginesu.

Wobec powyższego ogłasza się jedyny w swoim rodzaju, niepowtarzalny, dający każdemu szansę, kon-

kurs na złodziei różnego kalibru (od dolinarzy do koniokradów), chuliganów, wandalów, gwałcicieli, nożowników, dziwki, spekulantów i wszelkie inne tałatajstwo. Jeżeli nie ufasz swym umiejętnościom, możesz już dziś zgłosić się na kurs przedkursowy nawet bez kartek żywnościowych. Wystarczy pójść o północy na najbliższe bagno z hasłem wywoławczym: „Nowy margines”.

Wielki finał nastąpi w czasie najdłuższej nocy w roku już o 24.00 i trwać będzie do świtu. Płóć miejsce jest nieograniczona. Odpadną tylko wybitne fajtlapy i frajerzy. Liczymy na każdego. Korzystajcie z okazji!

DODATEK ŚCIŚLE JAWNY

PRACA ZAWODOWA

Wiedźmy, żeby nie pozostać w tyle, rozlepiają aktywnie afisze gdzie popadnie. Z tą aktywnością nie ma przesady, gdyż połowa miejskich pi-jaczków ma plecy oblepione owymi plakatami.

W zwartej treści żądań, bo one to, są tak nagminnie wieszane (jednak cywilizacja zrobiła kolosalny postęp — dawniej wieszano żądających), na

Oczywiście, jak to w dużej zbiorowości bywa, znaleźli się tacy, co przemycili alkohol i inne używki, aby czekanie stało się znośniejsze.

Zaczęły odzywać instynkty nie tylko łagodnych baranków. Podchmielony rzeźnik w przypływie czułości pokrajał najbliższą sąsiadkę na drobne plasterki. Znalazł się także materialista, który buchnął torebkę pewnej pani, bo było to akurat po wypłacie. Szeptano później, że biedny złodziej przez trzy noce szalał z rozpaczą, gdyż w torebce znalazł za-ledwie parę groszy. Podobno grubsze zwędził mąż owej damy znacznie wcześniej. Zaś najbardziej romantyczni zdążyli już zgwałcić jakąś pannie, chociaż nie wykluczone, że było odwrotnie.

Życie więc płynęło spokojnie, a ducha jak nie było, tak nie było.

Wybrano nawet radę starszych, która miała godnie powitać ducha w imieniu wszystkich, i uformowano orkiestrę z okolicznych grajków, która z nastaniem wieczoru wytrąbiwała, wystukiwała, wypiskiwała i na wiele innych sposobów ćwiczyła marsza powitalnego ducha nieziomnego.

Teren czekających otoczono siatką i odtąd nowi chętni mogli tam dostać się po nabyciu biletów, których ceny stale rosły. Sprzedawano także place pod nowe ogniska, a cena każdego ara na czarnym rynku osiągała zawrotną stawkę.

Tymczasem ducha wciąż nie było.

Najzapalczywsi zaczęli tracić cierpliwość i wiarę w słuszność całego przedsięwzięcia. Mnożyły się dzieła antyduchowe, a tu i ówdzie przebąkiwano nawet o rewolucji.

Duch jednak ani myślał ugiąć się pod groźbami i nadal nie raczył zaszczycić czekających swoją postacią (albo raczej charakterystycznym jej brakiem).

RODZI SIĘ MUZEUM

Pani Maria Bauchrowicz z Łomży ofiarowała tworzącemu się muzeum książkę Jerzego Sampa pt. „Droga na sabat”. Diabłom, czarownikom i wierzeńiom ludu kaszubskiego, poświęcone są szkice popularno-naukowe, pomieszczone w tomiku.

Pani Bauchrowicz serdecznie dziękujemy, a wszystkim Czytelnikom nadal przypominamy, że oczekujemy na eksponaty do przyszłego Muzeum Straszylei, Demonów i Niesamowitości. Przyjmujemy w redakcji — bez żadnych ograniczeń i w dowolnej postaci — wszelkie maskary, czarownice, diabły, strachy, dziwadła oraz albumy, książki, dokumenty i opowieści z nimi związane. Hojność zostanie nagrodzona wpisem do Złotej Księgi Ofiarodawców. Każdy wpis ze zdjęciem eksponatu opublikujemy na łamach „Kontaktów”.

czło wybijają się postulaty, aby kozy miały kagańce. Te brodate-rogate stworzenia są zagorzałymi konsumantami mioteli, i jeżeli nie poskromi się ich apetytów, grono wiedźm może niebawem zostać spieszzone. Co to znaczy, wie tylko ten, który musi korzystać z naszych dróg lokalnych.

Wystarczy dodać, że na myśl o tym nawet piekło centralne dostaje dwuznacznych dreszczy.

WYTYCZNE

Naprawić wreszcie te błędy. Psia-krew, koniec świata! We łbie się nie mieści, żeby nawet błędy były spartolone.

WSKAZÓWKI

Trzeba wreszcie sprawę pchnąć (najlepiej pod zebro).

TWÓRCZOŚĆ

Słowo humoru, nie podoba mi się ta hołota, co czekanie na paliwo utożsamia z czekaniem na Godota.

Z upoważnienia NSDW

Czarnego vel Hańczaka

do publicznej wiadomości podał

TADEUSZ CHARMUSZKO

2. STAŁA SIĘ CZERNOŚĆ

POMYSŁ:
MARCIN WOLSKI
ADAPTACJA I RYS.:
JÓZEF BURNIEWICZ

Ciemność, z przyczyn niezależnych od Redakcji, stała się tak gęsta, że rzecz rozjaśni się, być może, w następnym tygodniu.

POKUSY

Andrzeja Koziary

POKUSY

pod redakcją

POKUSY

organ samoistny

POKUSY